Nr. 26. Kraków, dnia 26 czerwca 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W sieci szpiegowskiej.

Niedawno jeszcze grozę w kraju budziły nieustanne i, zda się, bez końca afery szpiegowskie. Nie skończył się jeden proces o szpiegostwo na rzecz Rosyi, a już chwytano szpiega nowego. Co chwila wieść o nowych aresztowaniach alarmowała ogół.

Zapytywano się, do czego stan taki prowadzi? Przecie okres obaw wojennych minął, a mimo to ma się wrażenie, jak gdyby krok każdego z nas, każdy nasz czyn był kontrolowany i donoszony natychmiast obcym.

Jeszcze nie zmilkły echa aresztowań szpiegów rosyjskich, stanowiących przeważnie kadry partyi moskalofilskiej, jeszcze nie odbyły się procesy aresztowanych — a już przez pisma warszawskie dochodzą wiadomości o nowych sprawach szpiegowskich.

Były agent policyi pruskiej Bolesław Rakowski, indywidyum liche moralnie i nędzne, ogłosił dokumenty stwierdzające ścisły związek między działalnością partyi ukraińskiej a rządem pruskim.

Mniejsza o to, czy *wszystkie* wiadomości Rakowskiego są prawdziwe. Możliwe, że wiele w nich nazwisk jest nieprawdziwych, przekręconych lub wprost zmyślonych; może nawet niektóre dokumenty są wprost podrobione.

Ale jedno przyjąć musimy: nie mogłyby powstać żadne pogłoski, gdyby na rzeczy choć trochę prawdy nie było! Nie możnaby snuć przerażających wniosków, gdyby nie było po temu żadnych podstaw.

Sympatye Rusinów do Prus są znane. Każde prześladowanie Polaków w Prusiech Rusini przedstawiali u siebie, jako mało znaczące. Każde prześladowanie w opinii Europy oni usiłowali przygłuszyć swoimi awanturami.

W zamian Prusy snuły dalekie marzenia o Rusinach. Ministrowie w parlamencie powoływali się na „ucisk polski w Galicyi“ i tem motywowali postępowanie swoje wobec Polaków w Poznańskiem. Prasa niemiecka zawsze Rusinów broniła.

Bismarck, wódz niemiecki, marzył o koronie pruskiej w Kijowie!

* * *

Więc cóż?

Jesteśmy osaczeni i od strony Prus i od strony Rosyi.

Tego nie wolno nam nigdy zapominać!

Pamiętać o tem musimy obecnie zwłaszcza, w przeddzień Zlotu Krakowskiego i przy obchodach Grunwaldzkich.

Bądźmy pewni, że na każdym kroku spotkamy niepowołanych, łasych na każde nasze gorętsze słowo i na marzenia nasze. Nie wolno się nam ani marzeń ani uczuć zapierać. Ale musimy zawsze mieć na uwadze, że postępowaniem nierozważnem zgotować możemy dwie przykrości rodakom w Poznańskiem i możemy narazić ich na większe prześladowania.

Święto Grunwaldzkie jest pokłonem dostojnej i smutnej (bo nie wyzyskanej przez nas) Przeszłości. W głębokim nastroju, w poważnem rozpamiętywaniu przeszłości i stosunków obecnych — pamiętajmy także, że jesteśmy osaczeni ze wszystkich stron, i że praca nasza i nasze słowa mogą się odbić bardzo głośno za kordonem! ***

Z kresów zachodnich.

Cieszyn, 19 czerwca.

Rok miniony w Księstwie Cieszyńskiem był rokiem narodzin nowotworu politycznego, który sprawie polskiej na Śląsku może przynieść duże, nieobliczalne szkody. Chodzi o tzw. *partyę ludową,* na czele której stanął nauczyciel J. Kożdoń, redaktor gadzinowego tygodnika „Ślązaka“, a podczas wrześniowych wyborów sejmowych wybrany posłem do sejmu opawskiego przeciwko znanemu i wybitnemu a mającemu wobec Śląska duże zasługi ks. Józefa Londzina w okręgu bielskim.

Kim jest „Śląska partya ludowa“, jaki jej program, kto nią kieruje?

Odpowiedź na to osłonięta jest tajemnicą.

Jedynie pozostaje fakt jeden niezbity: Powstał i istnieje w Skoczowie tygodnik „Ślązak“, uchodzący za organ tej partyi, redaktorem zaś jego jest nauczyciel w Międzyświeciu Józef Kożdoń.

Program zaś nowej partyi wypowiada się w trzech słowach: Śląsk dla Ślązaków. Wszelkie rozwinięcie, wszelka interpretacya może być dowolna; pomimo więc swojej szczupłości program

partyi ludowej może być tak obszerny, jak wymagają stosunki lokalne i jak go pragnąłby byle agitator rozszerzyć.

Nie wiadomo było wprawdzie, kto do nowej partyi należy. Nie pytano się nawet o to. Dla każdego działacza wystarczającą informacyą było hasło: Śląsk dla Ślązaka — sposób redagowania pisma i osobistość p. Koždonia.

Działacze polscy w Cieszyńskiem rychło zrozumieli, że nowa ta partya nie wnosi w stosunki śląskie nic nowego. Jest to jedynie nowa odmiana dawnych, starych, zawsze powtarzanych usiłowań niemieckich, zniemczenie ludu mających na celu.

Ponieważ zaś zniemczenie ludności trudniej jest wszędzie wprost, bezpośrednio, przybrano więc pokrywkę renegacką. W języku polskim, przez „polskich" ludzi sieje się w ludność nienawiść do polskości i odrębność od reszty Polski.

Dlatego to faryzeusze niemieccy przystroili w nowy „program", w nowe szaty hasło zwietrzałe: pod maską stronnictwa ludowego, rzekomo partyi samodzielnej, uderza się w najczulszą stronę duszy chłopa śląskiego, w imię zasady: „Śląsk dla Ślązaka!"

Trzeba było także wynaleźć człowieka, któryby mógł wydawać pismo i wpajać w ludność zasady niemieckie, tumanić i ogłupiać poczciwy lud śląski. Robota to trudna i żmudna, ale intratna posada.

Wynaleziono polskiego nauczyciela w Międzyświeciu, wychowanka seminaryum krakowskiego, biorącego ongiś żywy udział w radykalnem życiu polskiem, człowieka sprytnego i mającego duże aspiracye.

Rychło przy pomocy urzędników komory arcyksiążęcej wybił się ponad zwykły poziom, przy pomocy władz państwowych zdobył stanowisko posła sejmowego. Stanął więc Koždoń u szczytu swych marzeń, pełen wpływów, znaczenia, dostatków.

Bo orędowników i p. Koždoń i „Ślązak" ma możnych.

Należą tu przedewszystkiem kapitaliści niemieccy o poglądach wszechniemieckich, urzędnicy dóbr, należących do arcyksięcia Fryderyka, z dyrektorem komory Payerem na czele, służba państwowa, która często musi przymusowo prenumerować „Ślązaka" i której zabroniono obecnie porozumiewać się po polsku z „lepiej ubranymi".

Władcom tym wolno nakazać „Ślązakowi", aby występował zawsze radykalnie i ostro. Istotnie mało pism jest tak radykalnych, jak „Ślązak". Ale w dwu kierunkach: przeciw katolicyzmowi i przeciw polskości. Ewangielikom Niemcom chodzi o poderwanie znaczenia religii katolickiej, bo przez to łatwiej zrujnuje polskość u ludu.

Chłop polski, do którego uobywatelenie i świadomość narodowa nie trafiły jeszcze zupełnie, przyjmuje hasło „Śląsk dla Ślązaka" ponętnie". Ale odstrasza go ten fakt, że po za niem stoją odwieczni jego nieprzyjaciele i ciemiężyciele. Jest tu i komora, cisnąca go dotkliwie, jest także urzędnik niemiecki, szkodzący mu na każdym kroku.

Sprawa rozwoju tego ruchu separatystycznego ma dla rozwoju polskości na Ślązku znaczenie pierwszorzędne. O ile rozwinie się ona silnie, o ile „Ślązak" zdobędzie sobie wpływ na masy, może wszelki rozwój narodowy zatamować na szereg lat.

Jak przeciwdziałać?

Niestety niema na Ślązku jednolitej akcyi narodowej. Wszelkie zabiegi około utworzenia Rady Narodowej spełzły na niczem. Wołania i dzienników śląskich i perswazyi działaczy nie zostały uwieńczone skutkiem pomyślnym.

Organizują się Czesi, którzy w Polskiej Ostrawie mają swój sekretaryat ruchliwy a sprężysty. Organizują się Niemcy, oddziaływując przez Ślązaka.

A my? Mówią już dziś o nowej organizacyi nowego stronnictwa polskiego, chociaż mamy ich tutaj za wiele. Zdaje się nam, że gdzie chodzi poprostu o nasz byt, o utrzymanie polskości na Ślązku jednomyślność w pracy i akcyi obronnej powinna panować zupełna, a interes narodowy powinien być czynnikiem decydującym.

Pora działać energicznie dzisiaj, bo jutro może być zapóźno. *Józef L.*

Numer bieżący jest ostatnim w obecnym kwartale.

„Tygodnik Narodowy" przetrwał półrocze istnienia. W stosunkach galicyjskich, wśród warunków niepomyślnych, „Tygodnik Narodowy" umiał zdobyć sobie w krótkim czasie zaufanie i wziętość we wszystkich kołach naszego społeczeństwa. Instytucye oświatowe odczuły, że pismo nasze jest *jedynem pismem* tego typu w Galicyi.

„Tygodnik Narodowy" zdobył sobie uznanie obfitością i doborem materyału. *Nie było i niema w kraju pisma, któreby przy tak nizkiej cenie ofiarowało tyle doborowego materyału czytelnianego.*

W Tygodniku *każdy* znajdzie dla siebie coś odpowiedniego. W sposób popularno-naukowy „Tygodnik Narodowy" oświetla wiele faktów z zakresu przyrody, spraw praktycznych, zagadnień historycznych i bieżących. Wszystkie cenne strony pisma podnosi fakt, że jest ono ilustrowane *pięknie wykonanemi rycinami.*

Z rozmaitych stron otrzymujemy zapytania, jak przy tak drobnej cenie może istnieć tak piękne wydawnictwo. Odpowiadamy: *wydawnictwo nie jest obliczone na zyski,* chce jedynie *służyć sprawie publicznej.* I dlatego tem śmielej odzywa się do wszystkich żądając w *imię dobra publicznego* wydatnego *poparcia.*

Skarby ducha polskiego.

Nic tak nie potęguje uczucia, nie podnosi ducha ku sferom nadziemskim, nieznanym przeciętnemu śmiertelnikowi, jak śpiew i muzyka. Cudne akordy pieśni i muzyki polskiej wygrywające potężne hejnały na nerwach ludzkich, są tak czarujące i olśniewające, że porywają całe nasze jestestwo, gdzieś w krainę zamieszkałą chyba przez aniołów, i jej to zawdzięczyć możemy, że nie wygasło u nas poczucie piękna, że nie zapominamy o przeszłości, żyjemy silnie teraźniejszością i wierzymy w świetlaną przyszłość. Gdyby nie było pieśni i muzyki polskiej obok literatury i poezyi rodzimej — nie byłoby i polskości w nas ani odrobiny; skazani bylibyśmy na zagładę, jak ostatni Mohikanie, i za lat nie wiele może i śladu po Polakach by nie zostało.

Muzyka poezya i literatura polska, to najważniejsze czynniki, które nas podtrzymują jako naród, a upaść i zginąć nam nie pozwalają. W najkrytyczniejszych chwilach zwątpienia spowodowanego upadkiem politycznym, pieśń i poezya polska krzepiła w nas ducha, budziła energię, wlewała balsam nadziei w zakrwawione serca, i oto pomimo burz, jakie szalały nad głową polskiego narodu, pomimo udręczeń i srogiej niewoli jaką znosimy, jednakże żyjemy, jako silne ciało, którego ducha nic zabić, a nawet ugiąć nie potrafi. Pieśń polska wiodła kiedyś zastępy naszego rycerstwa na zwycięskie boje — ta sama pieśń podtrzymuje w nas mocną wiarę we własne siły i każe nam wierzyć, że jeszcze kiedyś nad Polską zabłyśnie jutrzenka, a słońce pogodne promieniste rozproszy pomrokę niewoli, jaka nas ogarnęła i więzi.

A obok muzyki — obok pieśni polskiej lśni wspaniałym blaskiem jej nieodstępna siostrzyca — poezya polska. Muzycy i poeci polscy w pracy nad odrodzeniem naszego narodu, nad podniesieniem jego ducha i podtrzymaniem w nim wiary we własne siły uzupełniają się wzajemnie. Ich to iskra boża zapala i rozpromienia dusze, porywa masy i pcha je do czynów wzniosłych, szlachetnych, z których wykwita moc i nadzieja lepszej doli. Ongi rycerscy ojcowie nasi, wierząc w swoje męstwo mawiali: „póty Polski, póki kopii“; a my ich potomkowie możemy dziś powiedzieć, że póty w nas nie wygaśnie polskość i nie przestaniemy być narodem silnym i nieugiętym, póki nas krzepi śpiew i poezya polska.

Można być bogaczem, opływać w dostatkach, mieć wszystko na zawołanie, ale też zarazem stać się zimnym głazem, nieczułym na wszelkie piękno, niedbającym ani o narodowość, ani o przyszłość swoich współbraci, zatracić wszystkie cechy przynależności do swojego społeczeństwa, i być sobie zwykłym zjadaczem chleba, bez żadnego poczucia i myśli przewodniej, z którego ani własne, ani obce społeczeństwo nie ma wielkiego pożytku. Kto zaś w duszy i sercu swojem przechowuje wzniosłe uczucia zamiłowania piękna, jakiem jest muzyka i poezya swojska — ten bogaczem moralnym jest, szczęśliwszym od tego, któremu tylko znane dźwięki marnego kruszcu, a suche cyfry są jego poezyą...

Polska żyje dziś w muzyce, poezyi i literaturze swojskiej; a nie tylko z tych skarbów czerpią pełną dłonią nasi, ale i obcy. Dawniej, gdy obcy jeszcze nie znali czaru i potęgi muzyki polskiej, nie słyszeli naszych pieśni, nie wczytywali się w tłómaczenia pereł naszej literatury, nie wiedzieli nic o tem, że Polacy mieli wielkich poetów, nieustępujących w niczem angielskiemu Szekspirowi i Byronowi, lub niemieckiemu Goethe'mu i Schillerowi — nie znali wtedy Polaków, ani ich wspaniałej przeszłości i bogactw ducha, jakie w sobie kryją.

Dziś atoli muzyka, pieśń, literatura, a nawet poezya polska znalazły przystęp do obcych, zachwycając ich swoim niewysłowionym urokiem i potęgą, budzącą uczucia nieznane.

Muzyka polska bowiem obok doskonałej techniki i miękkości ma w sobie coś tak rzewnego, tak ujmującego, tak pełna skargi, bólu, ale i zarazem tchnienia nadziei i mocy, że elektryzuje i porywa, a nawet najobojętniejszy słuchacz nie może się oprzeć jej urokowi.

Pieśń polska tak samo doznaje u obcych życzliwego przyjęcia, bo chociaż słowa jej nie są znane obcym, to melodya ich zachwyca. O, bo pieśń nasza, to pienia aniołów — to morze uczucia, to perły i brylanty olśniewające swoim blaskiem — to cud, jaki tylko duchy zsyłać mogą z nadziemskich krain.

Dołączmy do tego bogatą, wspaniałą, wprost niezrównaną literaturę polską i poezyę, którą dopiero teraz zaczynają zachwycać się obcy, a z dumą powiedzieć możemy, że żaden naród nie potrafi tak zająć, rozpromienić istot ludzkich bez względu na ich narodowość, płeć i stanowisko, jak właśnie Polacy. Polska więc żyje w muzyce, pieśni, poezyi i literaturze swojej własnej, nic nie zapożyczając od obcych, a jeszcze ich darząc swoimi nieprzebranymi skarbami. Czcijmy więc i pielęgnujmy te drogie klejnoty; pielęgnujmy je w domu i kołach towarzyskich, aby nabierały jeszcze większego polotu, siły i piękna, a świat cały pochylić musi czoła przed wszechwładnym geniuszem polskim.

Władysław St. Reymont.

Z Ziemi Chełmskiej

Nakładem księgarni Gebethnera i Wolffa, ukazał się tomik wrażeń i notatek znakomitego pisarza Wład. Reymonta, z jego odwiedzin do ziemi Chełmskiej, do prześladowanych przez rząd moskiewski unitów. Tania, gdyż kosztująca 2 kor. ta książka, jako stanowiąca dosadny przyczynek do obecnego naszego położenia w zaborze rosyjskim winna znaleźć szerokie rozpowszechnienie.

Zamieszczamy poniżej znamienny urywek.

. . . .

...Na świecie, to jak w marcu, raz deszcz, raz słońce, a zdarza się i burza z piorunami, ale kto cierpliwy, to wiosny się doczeka, bo wiosna przyjść musi! A Pan Jezus przecież powiedział: kto jest poniżony, tego Ja wyniosę ponad wszystkie! Trzeba wierzyć i czekać!

— Pan może nawet nie wie, co się w naszej wsi działo? — spytał porywczo brodaty.

— Podczas zniesienia unii?

— Tak. Zaraz na początku 1875 roku przysłali nam całe dwie roty wojska i rozkwaterowali po domach i objedli nas za karę do ostatniego ziarnka!

— Przecież płacili za wszystko, mam jeszcze kwity — wtrącił wójt ze śmiechem.

— Chowamy je dla dzieci, a te insze pamiątki to już sami będziemy nosili na skórze do śmierci. Aż straszno pomyśleć o tamtych czasach! — szepnął brodaty.

— Jakże to było? — spytałem nieśmiało, widząc, że twarze kurczą się jakoś boleśnie.

— Zaś w samem piekle nie mogło być straszniej! — zaczął znowu staruszek. — Różnymi sposobami próbowali nas przerabiać na swoje kopyto, a kiedy nie pomogły prośby ani groźby, ani nawet nahajki, to wymyślili taką sztukę, że od świtania wypędzali wszystkich na całe dnie w pole i przykazywali zgarniać śniegi rękami. A zimno wtenczas było, mrozy trzaskające i wichury lodowate! Połowa ludzi pomroziła sobie ręce i nogi, ale żaden się swojej wiary nie wyparł! A potem wzięli się na drugi sbosób: zabronili nam karmić inwentarz! To przez cały tydzień, przez wszystkie dnie i noce słychać było tylko na wsi ryki bydlątek i płacze ludzkie! Wszystko prawie wściekało się z głodu, gryzło żłoby, tłukło się o ściany i zdychało. Nawet wody nie było im wolno zanieść, nawet garści słomy podrzucić, bo zaraz były w robocie nahaje. Serca pękały ze żałości, ludzie mdleli, dostawali konwulsyi, włóczyli się u nóg i jak psy, skamlali o zmiłowanie nad bydlątkami... Na darmo, bo tamci wciąż swoje mówili: „Podpiszcie się!“ Ale o zbawienie duszy szło, to woleli wszystko stracić, a nikt się nie podpisał. Nie, panie, ani jeden!

Zrobiło się cicho, przysapywali ciężko, jakaś kobieta, skulona pod piecem, rozszlochała się spazmatycznie, a mnie przejął lodowaty dreszcz zgrozy.

— A nie żałowali nam niczego! Niczego — wyrzekł ktoś z westchieniem.

— I kiedy odeszli — ciągnął dalej staruszek — to ze wsi zostały tylko gołe ściany i ani jednego bydlątka, ani jednego ziemniaka, ani jednego ziarnka zboża ani jednej skibki chleba, nic, tylko te sieroce płakania, głód, choroby i śmierć. I żeby nie miłosierdzie Boskie, tobyśmy...

— Co było, to i przeszło; ważniejsze, co nas teraz czeka! — przerwał mu jakiś młody.

— Nie spiesz się, Józef, przyjdzie, i weźmiesz swoje, jak i my brali, weźmiesz...

— Młody rzucił się niecierpliwie i rozgorzał, jak szczapa na wiatrze.

— Wezmę, ale oddam z dokładką; przecież nie będę bęczący nadstawiał pleców, nie będę pacierzem bronił się przed kijem, nie, na kij znajdzie się kłonica, albo i co lepszego! — wołał gwałtowie i wyzywająco.

— Nie daj się, dużo sam zrobisz, trykaj łbem we ścianę, trykaj! — drwił stary.

— Wszyscy tak już wiedzą, jak i ja. Nie pozwolimy się zarzynać jak barany!

— Józef prawdę mówi — przemówił znowu brodaty. — Przeżyłem dawne i tak je dobrze pamiętam, że jużbym nowego nie przetrzymał. Lepiej nam wszystkim poginąć odrazu, niż znowu tak żyć, jak dawniej.

— Naród jest poczciwy i pokorny. Nikomu wody nie zamąci, robi, co każą, ale niech go nie drażnią, niech go nie krzywdzą, niech go do dołu nie spychają, bo może być źle! I barany mają rogi! Bóg wie, co się stać może!

— Im się wydaje, że my to co? Nie ludzie czujące? Że my z drzewa i można z nas wyciosywać, co się tylko komu spodoba! My żywe i żyć chcemy, to się w trumnę po dobrej woli nie położymy, a wdeptać się w nią nie damy.

— Żeby nam przyszło głowy położyć a nie damy się!

— Bójcie się Boga! jeszcze kto posłyszy i doniesie! Ludzie! — błagał staruszek, bo chłopi tracili już równowagę, siedzieli wprawdzie spokojnie, ale po izbie latały coraz groźniejsze słowa i spojrzenia, a twarze rozpalały się gniewem. Ko-



Dnia 5-go sierpnia 1683 r. nuncyusz papieski Pallaviceni i poseł cesarski, hr. Waldstein, przybyli do Wilanowa, ulubionego pod Warszawą miejsca pobytu króla Jana III, a upadłszy mu do nóg, błagali prawie ze łzami w oczach: — Królu, ratuj Wiedeń!...

— Królu, ratuj chrześcijaństwo!...

bieta pod piecem zaszlochała tak głośno, aż ktoś zakrzyczał:

— Mogliście się już przez tyle lat wypłakać. Nie czas nam na beki a lamenta!

Przycichło w izbie, ale po chwili znowu zawrzały rozmowy, zaczęli się coraz szczerzej wywnętrzać, tylko że głosy były cichsze i trwożniejsze, a słowa wyrywały się z trudem, jakby z pod serca, jakby z utajonych głębin trwogi; smutek wyzierał z przymglonych łzami oczów.

— Aż strach pomyśleć, co się z nami stanie!

— Nawet kalendarz mają nam zmienić!

— I wszystkie święta przemienią po swojemu; Boże Narodzenie wypadłoby w styczniu!

— Jakże to może być? Przecież Chrystus urodził się 24 grudnia, to nie może się rodzić drugi raz w styczniu! Nie może! Nasz polski Chrystus urodził się 24 grudnia! Jakże... Tego człowiek nie zrozumie, choćby jeszcze żył sto lat!

— I gruntów nie będzie nam wolno kupować!

— Za własny grosz i nie będzie wolno! To już koniec świata!

— A powiadają, że jak nas tylko odłączą, to wzbronią mówić po polsku, za każde słowo będzie rubla sztrafu. Nawet w kościele nie będzie wolno mówić księdzu ani nikomu po polsku? Ani pieśni, ani nic.

— Jezus Marya! Jezus Marya! — zajęczała kobieta, wznosząc ręce do góry.

— Nikt na to nie przystanie, a i księża przecież się nie zgodzą...

— Księża też mogą nas odstąpić, jak odstąpili uniccy, nie pamiętacie?

— To nie pójdziemy do takich kościołów; do lasów wrócim, Bóg jest wszędzie.

— A i na takich księży znajdzie się kara! Naródby im tego nie przepuścił!

— A niech nas odstąpią, a niech nas wszyscy opuszczą, a niech nas pozabijają, jak te psy wściekłe i niech się to już raz skończy! Przecież człowiek dłużej takiego życia nie wytrzyma! Nie wytrzyma, mój Jezus! Nie wytrzyma! — zakrzyczał jakiś chłop, łzy polały mu się ciurkiem po wynędzniałej twarzy, płakał, jak dziecko.

— I za co to wszystko? Cośmy komu zawinili? Dlaczego? — biadali bezradni.

— Dlatego, żeśmy Polacy i katolicy! — zawołał wójt.

Naraz siwy staruszek przyklęknął, wyciągnął ręce do obrazów i zaczął odmawiać głośno „Pod Twoją obronę“.

Cała izba powtarzała za nim głosami pełnymi łez, rozpaczy i błagania. A kiedy się porozchodzili, wójt powiedział:

— Wszyscy się boją odłączenia od Polski gorzej, niż śmierci. W każdej wsi zobaczy pan to samo, w każdej chałupie i w każdym człowieku.

Bardzo długo nie mogłem zasnąć tej nocy.

. . . .

Tajemnice powodzenia w życiu.

Życie ludzkie nie jest zabawką, lecz najpoważniejszem zjawiskiem na świecie.

Największym wrogiem każdego człowieka są jego wady własne i namiętności. Dlatego trzeba je mężnie zwalczać, a kto tego dokona, ten osiągnie powodzenie w życiu.

Bądź wytrwały w zwalczaniu przeciwności, a czyń to bez smutku i dręczących myśli, lecz swobodnie z pewną wesołością. Mimo tej wesołości traktuj życie poważnie. Zdawać sobie bowiem musisz jasno sprawę z tego, że na tym świecie masz bardzo dużo do czynienia i że nie masz ani chwili do stracenia.

Pamiętać powinniśmy o tem, że przeciwności, jakie napotykamy w życiu, istnieją po to, ażebyśmy się uczyli pokonywać je, a przez to rozwijać te zalety, których nam wciąż jeszcze niestety bardzo brak, jak: cierpliwość, punktualność, słowność, wytrwałość itd. Człowiekowi zdaje się nieraz, że wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, gdy w rzeczywistości wszystko jest po to, aby mu pomagać do osiągnięcia ostatecznego celu. Obowiązkiem więc człowieka jest zrozumieć ten plan Boży rzeczy istniejących.

Kto żyje nad stan swego majątku, swoich dochodów lub swego zdrowia, ten popełnia lekkomyślność, która powoduje szereg przykrych następstw. Gdy wydatki są wyższe od dochodów, gdy kredyt jest nadmiernie obciążony, wtedy nastąpić musi przesilenie i kara. Ludzkość cierpi dziś bardziej niż dawniej, żyjemy bowiem w czasach powszechnego przeciążenia, przynajmniej w zawodach wyższych. A kto bierze na siebie stanowisko, urząd lub pracę, której nie dorósł, ten musi być przygotowany na cierpienia. Bo człowiek powinien przerastać swoją pracę, nie zaś praca przerastać jego siły. Kto ze swej siły życiowej wydaje więcej, niż go stać na to, ulegnie karze i to nie tylko on sam, lecz i wszyscy ci, którzy od niego zależą, a więc żona i dzieci przedewszystkiem.



Próżność.

Najniebezpieczniejszą rzeczą, utrudniającą a nawet uniemożliwiającą powodzenie w życiu — jest gadulstwo. Dlatego ludzie powodzenia zawsze milczą o swoich zamiarach. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba wtajemniczenia drugich w nasze plany, winniśmy to czynić jedynie z tym z góry postanowionym zamiarem, aby zasięgnąć tylko zdania ludzi doświadczonych, o których wiemy, że są nam życzliwi i że nie zdradzą nas. Gadulstwo ma także tę złą stronę, że osłabia energię. Kto nie umie panować nad swoim językiem, ten nie będzie umiał uskutecznić swoich zamiarów, ten nie będzie miał powodzenia w życiu.

Patrz i słuchaj.

Co zyskasz przez patrzenie i słuchanie, jest wiele więcej warte niż to, co zyskasz przez mówienie. Nie zawsze trzeba mówić co się wie, ale zawsze trzeba wiedzieć co się mówi.

Każda rzecz niech leży na swoim miejscu, to tajemnica porządku.

Kupować wyroby swoich rodaków i popierać przedewszystkiem przemysł kraju rodzinnego, to tajemnica bogactwa narodowego.

Nic tak nie czyni człowieka starym, jak nienawiść, nic tak nie wywołuje brzydkich zmarszczek jak zazdrość, nic tak nie wyczerpuje sił jak gniew, nic tak nie skrzywia rysów twarzy, jak ciągłe wzruszenia niespokojnego sumienia. Na każdej zmarszczce napisane jest odpowiednie uczucie.

Kto nie idzie naprzód, ten się cofa. Kto nic nie robi tylko czeka, ten popada w długi.

Każdą pracę rozpoczynać trzeba z wiarą. Bez wiary bowiem niema powodzenia. Praca jednak wytrwała połączona z silną, niezachwianą wiarą, przynosi owoce obfite.

Walka domu z lawą.

Znany dziennikarz włoski Luigi Barzini, w jednem z najnowszych swoich sprawozdań o wybuchach Aetny, podaje wstrząsający obraz domu, który padł pierwszy ofiarą strumienia płonącej lawy. Był to dom, noszący nazwę Casa Fra Diavolo, a położony na folwarku barona Corvia.

Dzień przed katastrofą — pisze Barzini — gdy lawa była oddalona mniej więcej na 300 m. zdawało się, jak gdyby strumień jej miał uczynić zwrot i popłynąć obok domu, wkrótce jednakże przybrał fatalny kierunek na zabudowania. Wtedy na rozkaz właściciela zaczęto z domu wynosić meble, sprzęty i wszelkie zapasy. Było to po godzinie 6 wieczorem. W owej chwili podpłynęła lawa do stóp muru, opasającego dziedzinieniec.

Strumień płynął z wyżyny ogromnie spiętrzony, szary, dymiący, przetykany ognistemi plamami. Brzegi jego ciągle zmieniały swoje kontury. Czuć już było gorące jego tchnienie i słychać było chrzest gęstszych fal. Kilka krzaków kwitnących stanęło w płomieniach, które przez okna rzuciły światło do pustych pokojów. Wewnątrz domu już panuje żar, jak w piecu. Widać, jak tapety na ścianach pękają i zwijają się w trąbkę pod działaniem gorąca.

A strumień lawy nieustannie płynie z okrutną powolnością. Już czuć swąd przypalonego pokostu. Słupy drewniane dymią, a belki żelazne parzą dłoń przytkniętą do nich. Gorąco staje się nieznośne. Z poza muru słychać głuche uderzenia. Lawa żąda, ażeby ją wypuszczono. Wydaje się, jak gdyby uparty i milczący wróg sunął tarany pod mur fortecy. Brama jęczy i wygina się. Nagle odzywa się rozpaczliwie wołanie:

— Studnia?

Znaczniejsza ilość wody znaczy dla domu, napadniętego przez lawę to samo, co dynamit przy pożarze. Gdy lawa runie do studni i wypełni ją, woda nagle przemienia się w parę i powoduje straszliwy wybuch. Spieszy też kilku mężczyzn do studni, zrywają z niej części żelazne, burzą brzegi cembrowiny i zasypują studnię.

Słychać znowu głośne trzeszczenie, poczem wznosi się tuman pyłu. Pod naciskiem potężnym lawy, mur obwodowy runął po całogodzinnym oporze. Gruzy jego padają aż pod dom. Na ostatek z hukiem pada wielka brama ze swoim dachem. Wszystko stracone.

Przerażenie ogarnia wszystkich. Na chwilę ustaje praca ratunkowa, ale rychło podjęto ją w dalszym ciągu przy świetle pochodni, gdyż dawno już zapanowały ciemności. Zbliżający się z przeraźliwą powolnością wróg wysyła naprzód małe potoki, które biją o ściany domu i wywołują echo w pustych pokojach. Już nie ma ratunku dla nieszczęsnego domu. Casa Fra Diavolo okazuje szczeliny w murach. Lawa u stóp domu coraz bardziej się wznosi. Wyniesiono z niego wszystko, pozostały tylko nagie ściany.

Jedna ze szczelin rozszerza się powoli, dom pochyla się ku jednej stronie i prawie bez szmeru niknie w falach lawy. Słychać tylko przez chwilę trzask belek. Około północy lawa zagrzebała wszystko. Pozostało dymiące cmentarzysko w pamięci ludzkiej.

Palacze opium.

Pragnienie szczęścia! Oto co gna ludzi po różnych stronach świata, co tłumy bezwolne zaprzęga do rydwanu złotego cielca w Monte Carlo, co każe szukać ucieczki od dnia dzisiejszego w winie lub kartach. I oto, czem się tłumaczy plaga, przybierająca coraz szersze rozmiary we Francyi. Jest nią narkotyzowanie się za pomocą opium i morfiny.

Szalony rytm życia paryskiego wymaga ustawicznego wytężenia wszystkich władz, wszystkich nerwów. Chwile biegną tu prędzej, niż gdzieindziej. Niby w kalejdoskopie zmienia się obraz za obrazem. Człowiek musi szukać sztucznych podniet, aby sprostać temu kołowrotowi. Damy — te szczególnie, które doznały już pewnych zawodów życiowych — oddają pierwszeństwo morfinie. Nie do uwierzenia, jak bardzo nałóg ten jest rozpowszechniony. Wiele znanych piękności z najwyższych sfer towarzyskich nie rusza się nigdzie bez maleńkiej sikawki. Jubilerowie paryscy rok rocznie setkami sprzedają eleganckie etuis, zawierające przybory do wstrzykiwania morfiny. Można jej dostać bez trudności w aptekach, ile kto chce.

A gdyby nawet czyniono pewne trudności, to od czegóż usłużni lekarze? Wielu ze znanych specyalistów chorób kobiecych temu tylko zawdzięcza liczną praktykę. Pod pozorem leczenia są właściwie tylko dla swoich pacyentek dostarczycielami upragnionego narkotyku.

O wiele zgubniejsze i bardziej wycieńczające od morfiny jest opium.

W Paryżu roi się od palarni wszelkiego gatunku. Począwszy od nędznych kryjówek w otworach fortyfikacyi, aż do pół lub zupełnie jawnych,



Powitanie wodza.

a wreszcie ściśle prywatnych — jest ich mnóstwo do wyboru.

Tamte na krańcach miasta niebezpieczne dla przyzwoitego mieszczucha, mieszczą się w trudno dostępnych norach. Obdarci, wychudli nędzarze, zbieracze gałganów, „lumpenproletariat“, rozmaitego rodzaju wykolejeńcy życiowi leżą w tumanach narkotycznego dymu, woląc raczej przymierać głodem, niż wyrzec się trującej ekstazy. Są to prawie wszystko ludzie, którzy służbę wojskową odbywali w koloniach i teraz rozpowszechniają straszny nałóg.

W miarę zbliżania się do środka miasta charakter tych osobliwych instytucyi staje się coraz wytworniejszy.

Są publiczne, dostępne za pewną opłatą, i prywatne, gdzie tylko wstęp mają znajomi. Najciekawsze, oczywiście, są te ostatnie.

Zazwyczaj powstają one w sposób następujący: Któryś z palaczów opium, pragnąc oddawać się nałogowi z całą swobodą, a zarazem utrzymać pewien ton i piękno, przeznacza na ten użytek jakiś niewielki pokój przy mieszkaniu. Tam gromadzą się zaufani. Zazwyczaj składa się takie opjumowe towarzystwo z trzech, rzadziej z czterech osób. Każdy palacz używa dziennie mniej więcej za 10 fr. narkotyku.

Mieliśmy niedawno sposobność oglądania takiego lokalu. Miły pokoik, w nim nieodzowne tylko sprzęty: sofa, stolik do herbaty, nizki i szeroki materac, rozpostarty na pryczy drewnianej, a zajmujący niemal całą wolną przestrzeń. Cztery osoby mogłyby wygodnie na nim spoczywać. Ściany pokrywa jaskrawe, czerwone obicie chińskie, upstrzone smokami i warkoczowemi sylwetkami.

Palacz nadziewa wygodny, specyalny szlafrok zwany „pyjamą“, układa się w półleżącej postawie i opiera głowę na „kegoi“. „Kegoi“ jest to mała, czworokątna poduszka, jasiek raczej, ze skóry, lekko wypchanej słomą. Przez rurkę gumową, zanurzoną w wazie z opjum, wdycha się dym narkotyczny, unoszący się kłębami. Dokoła panują ciemności, rozświetlane tylko mdłym płomykiem palącego się opjum.

Jakież myśli przesuwają się przez głowę, jakie ekstazy, jakie wizye? sądząc po sile nałogu, musi być tu niesłychane napięcie rozkoszy, niedostępnej dla profana i nie znoszącej brutalnego blasku słońca, nietylko bowiem przeczuleni artyści i dekadenci, ale oficerowie, zdrowi i silni oficerowie oddają się namiętnie paleniu opium. W Tulonie straszny ten nałóg grasuje jak zaraza. *M.*

Nasze ilustracye.

„Królu ratuj Wiedeń, ratuj chrześcijaństwo.“ — Kiedy w roku 1683 wielki wezyr Kara Mustafa z 200 000 armią wkroczył w samo serce Austryi i obległ jej stolicę, Wiedeń, okrzyk rozpaczy rozległ się w całym niemal świecie chrześcijańskim. Trwoga ogarnęła serca Niemców, strach blady okazał się na ich obliczach. Jedyny ratunek upatrywano w kraju, którego dzielna husarya, owe wojsko w stal okute, skrzydlate, tyle już razy w krwawych bitwach zwyciężyło pohańców. Króla Jana III Sobieskiego wsławiła już wówczas dzielna obrona obozu pod Żurawnem, w którym 16 tysięcy wojska polskiego wytrzymało zacięte ataki stutysięcznej armii tureckiej pod pod wodzą Ibrahima Szejtana. Wysłano do Jana III deputacyę, a obrazek Walerego Eljasza przedstawia chwilę, gdy nuncyusz papieski i poseł cesarza Leopolda błagają polskiego króla o pomoc, o ratunek. Patrzą na sę scenę dwaj młodzi królewicze, patrzą dworzanie królewscy.

I wyruszył Sobieski na „pole chwały“. Wiedeń i chrześcijaństwo zostało uratowane. Ratunek ten Europa zawdzięcza Polsce, a dziś... któż o tem pamięta, któż jej przyniesie ratunek?

Próżność. „Próżność, twe imię jest kobieta“ mówi angielski poeta i myśliciel. Zaprawdę, ile kobiet goni tylko za błyskotkami, na wzór tej, którą przedstawia nasz obrazek nie myśląc o tem, że życie ma wyższe cele i wyższe zadania.

Wśród wieczornej ciszy. Śliczny krajobraz. Jezioro — w głębi wioska, chaty, kościółek. Z jednej z tych chat zapewne pochodzi owa matka, czule wpatrzona w swą pociechę. W łodzi na spokojnej toni jeziora, zażywa ona — szczęśliwa — wieczornej ciszy, po dniu pracy mozolnej.

Powitanie wodza. Nieśmiertelny nasz naczelnik Kościuszko, w gronie swego sztabu. Wita go dzielny oddział kosynierów, tych wojaków, co rzucili „pług i radło, wzięli kosy, kiej tak padło“. Rzucili chatę rodzinną, ziemię ukochaną, by pod ukochanym Naczelnikiem spłacić dług Ojczyźnie. Marsowate ich, szczere, polskie twarze tchną nietylko uczuciem miłości dla tego, co zaprzysiągł na rynku krakowskim, że wypędzi Moskala z kraju, lub zginie, — lecz także zapałem dla sprawy, w której obronie chcą walczyć.



Wśród wieczornej ciszy.

W zeszłym numerze — z braku miejsca — nie mogliśmy byli podać objaśnień dla „Naszych ilustracyi“. Czynimy to obecnie, wspominają choć o dwóch tylko obrazkach: „U grobowca Kościuszki“ i o „Znaku“.

Ugrobowca Kościuszki. Groby wawelskie kryjące wszystko, co nam najdroższego w przeszłości, prochy naszych wielkich królów, kryją przed światem zazdrosnym również prochy królów niekoronowanych: króla pieśni, nieśmiertelnego Adama, oraz wielkiego bohatera narodowego, który pierwszy chłopków, jako wolnych obywateli powołał pod broń, naczelnika Kościuszki. Przed tegoż grobowcem stoi starzec — pamiętający może z lat swych dziecięcych boje Kościuszkowskie — córka i wnuczę, młode pacholę. Starzec duma nad minioną naszą wielkością, nad objawami bohaterskich wzmagań narodu, których duszą był ten, którego medalion widnieje na grobowcu, — a zarazem uczy pacholę czcić pamięć naszych bohaterów. Chłopiec snać przejęty bardzo, bo z uczuciem całuje medalion Naczelnika.

Znak. W chacie, zaszytej gdzieś w borach litewskich drzemie powstaniec z r. 1863. Obok niego, na znak, że czasy niebezpieczne, że każdej chwili broń trza mieć pod ręką, — topor i strzelba. Wypoczywa on pod obrazem Królowej Korony Polskiej. Wtem rozlega się *„Znak“*,... do okna puka ręka niewidzialnego towarzysza broni. Czas już wyruszyć. Z trwogą, niepewna przyszłości, budzi znużonego kochająca żona. Przeczuwa ona, że kula moskiewska przeszyje pierś jej męża, że sierotą zostanie dziecię, spoczywające w kołysce, mimo to wie ona dobrze, że nie tu, w chacie zacisznej, miejsce dla niego, lecz tam, gdzie wre bój o wolność kraju.

DLA ROZRYWKI

Przebiegli więźniowie.



W pewnem więzieniu znajdowało się 24 więźniów, a byli oni tak ulokowani, że kontrolujący dozorca mógł ich każdej chwili policzyć: w każdym skrzydle więzienia musiało się znajdować po dziewięciu.

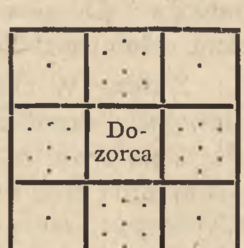
Tymczasem więźniowie, chcąc się raz po raz wymknąć do miasta, wpadli na dowcipny pomysł. Pewnego poranku wymknęło się czterech po tytuń do palenia, a pozostali rozlokowali się w następujący sposób, tak że znowu z każdej strony więzienia było ich po dziewięciu.





W mieście spotkali czterech kolegów, którzy nie mieli na noc schronienia, więc przyprowadzili ich ze sobą, aby mogli się przespać. I znowu tak się pomieścili, że z każdej strony więzienia było ich tylko po dziewięciu.

Spodobało się to panom włóczęgom noce przepędzać w ogrzanych lokalach i jeszcze czterech towarzyszy przyprowadzili i znowu tak się rozdzielili, że z każdej strony więzienia było ich tylko dziewięciu.



Kto pierwszy?

Ta gra towarzyska polega na tem, że z ogólnej liczby stu zapałek, leżących na stole, brać należy dowolną liczbę, byle nie większą od 10 ciu i kolejno dodawać do liczby wziętej poprzednio. Kto pierwszy dopełni do stu, ten wygrał.

Biorę 1 ktoś bierze np. 8 i liczy 9, ja dodaję 3 i liczę 12, ktoś bierze 10 i mówi 22, ja biorę 1 i mówię 23. Jeżeli będę pamiętał, że muszę zmierzać do tego, ażeby mieć 1, 12, 23, 34, 45, 56, 67, 78 i 89, i będę miał tę liczbę u siebie, to zawsze muszę wygrać, ktoś bowiem powie 89, może wząć najwyżej 10 i będzie miał 99, a dla mnie ostatnia jedynka robi pożądaną setkę.

To samo, grając tylko do 30. Należy pamiętać o tem, ażeby brać tyle zapałek, ile czyni 6, 16, 23 z temi, które się wzięło poprzednio. Wolno brać najwyżej po 6 zapałek.

Muzyka na szklankach.

Na trzynastu szklankach najprostszych, nie rzniętych, lecz o ile można najcieńszych, wypisać atramentem: F. Fis, G. Gis itd. do F. Ustawić je rzędem na stole; następnie ponalewać w nie w pierwszą do $^3/_4$ części, w drugą trochę mniej — i w dalsze coraz mniej, aż do ostatniej. Potem uderzać w brzegi szklanki drewnianą pałeczką i łyżeczką ujmować lub dolewać wody, odpowiednio do wydawanych dźwięków, żeby każdy brzmiał wyżej pół tonu. Nie ma jednak potrzeby stroić ich według kamertonu; dosyć jeżeli gama wyjdzie czysto i wyraźnie. Wtedy pałeczką można wygrywać tysiące sztuczek muzycznych.

Nie wiem.

Przyszedł baran nad rzekę, po drugiej stronie której pasła się owca młoda i urodziwa. Baran zapragnął bądź co bądź przedostać się do niej. Ale nie była to łatwa sprawa. Miejsce, na którem stał baran, było dzikie i odludne, przez rzekę nie prowadził żaden most, balonu nie było również, baran pływać nie umiał, skoczyć ze stromego i przepaścistego brzegu — byłoby śmierć ponieść na miejscu, obejść rzeki dookoła — również niepodobna. Słowem, nie było żadnego bezpiecznego sposobu przedostania się do pięknej owieczki.

I tu wyradza się pytanie:

— Co baran powinien zrobić, ażeby się przedostać na drugą stronę rzeki?

Pytanie to należy zadać w gronie koleżeńskiem jednemu z obecnych, a z pewnością będzie sobie dobrze łamał głowę, dopóki nareszcie, zniecierpliwiony, nie powie ze skruchą:

— Nie wiem!

— Bo i tamten baran także nie wiedział — oświadcza się w tej chwili, ku ogromnemu zadowoleniu kolegów i zawstydzeniu zagadniętego.

Łamigłówki.

Zagadka.

Nadesłała czytelniczka „Ela“ (pseudonim) z N. S. w Galicyi.

Są trzy gwiazdy, zesłane nam z nieba
Aby ludziom świeciły na ziemi;
Bo ludzkości wciąż światła potrzeba,
By dążyła ścieżkami jasnemi.

Jedna stoi na serc naszych straży,
Druga, niby jutrzenka nam świeci;
Trzecia w sercach płomieniem się żarzy,
Iskry święte w nich budzi i nieci.

Łamigłówka kryształowa.

Nadesłał czytelnik B. K. z Poznania.

A
A A A
E H I I J
K K K M M M O
O O O O P
P T T
T

Z liter w powyższej figurze ułożyć 7 wyrazów. Wyrazy w rzędach przekątnych stanowić mają nazwisko sławnego malarza polskiego.

Znaczenie wyrazów:

1. Spółgłoska.
2. Kwiat polny.
3. Tytuł powieści Sienkiewicza.
4. ? ? ? ? ? ? ?
5. Jedna z wysp Antylskich.
6. Dopływ Wołgi.
7. Samogłoska.

Dokładne rozwiązania łamigłówek prosimy nadsyłać najpóźniej do 30. bm. na ręce redakcyi.

Z rozwiązań trafnych 4 odznaczone zostaną nagrodą.

Nazwiska osób, które dobre nadeślą rozwiązania oraz tych, które otrzymają nagrodę, ogłosimy w nr. 28.

Rozwiązania

łamigłówek zamieszczonych w nr. 24.:

Logogryf:

J . zo . . . . **P**
A . rn . . . . **O**
N . emro . . . . **D**
T . arant . . . . **O**
A . ra . . . . **B**
R . elikwi . . . . **E**
N . abuchodonozo . . **R**
O . lbrach . . . . . . **T**
W . ydr . . . . **Y**
S . olo . . . . **N**
K . ielc . . . . **E**
I . slamiz . . . . . . **M**

JAN TARNOWSKI
POD OBERTYNEM

Szarada:

Napoleon.

Trafne rozwiązania nadesłali:

Z Galicyi:

pp. Juliusz Bogusz, Ludwika Bojukowa, Felicya Brachlówna, Wojciech Brasiński, Marya Dręgowska, Karol Dziura, Zygmunt Gaudnik, Józef Głuszak, Jadwiga Gołbowa, *Zofia Halewska,* Stefania Hatschier, Franciszek Kądziela, Stanisław Karaś, Jadwiga Kędzierska, Ignacy Kędzierski, Tadeusz Nodzyński, ks. Wincenty Osikowski, Karol Pacuła, Alina Panasiewiczówna, A. Świerkosz, J. Steindl, *Piotr Stolarzewicz,* Kazimierz Szeliga, Stanisław Turchański, Marek Tutak, Anna Wełnianka.

Z Księstwa Poznańskiego, Prus Zachodnich i Śląska.

pp. Józef Bilski, „Błędne Koło“ (pseudonim), Tomasz Cichowski, Stefania Dużyńska, Mieczysław Jarmuż, Stefcia Jaworowska, K. Kaczmarkiewicz, Wojciech Klarzyński, Karol Kołodziejczyk, Izabela Konopińska, A. Kujawski, Marya Kulińska, *J. Kwiecińska,* Janina Lesicka, Drowa Kazimira Nizińska, Wincenty Radtke, Stanisława Reinholz, *Marya Senatorówna,* Zofia Starkówna, Stanisława Tomkiewicz, Oleńka Żurkowska.

Z obczyzny i zagranicy:

Ludwika Bock z Berlina, Emilia Świątkowska z Monachium, Kazimierz Stopa z Sarajewa (Bośnia), Ludwik Szymanowski z Krey (Nadrenia), Walerya Vogtowa z Wattenscheid (Westfalia).

Nagrodę otrzymali:

Zofia Halewska w Stanisławowie, Piotr Stolarzewicz w Żywcu (Galicya), J. Kwiecińska w Poznaniu, Marya Senatorówna w Dobrojewie (Księstwo Poznańskie).

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Czy pani jest pewna, że to był on?

— Czy jestem pewna? Ależ ja go poznałam doskonale. Zresztą, widziano go na stacyi Saint Lazare. Miał na sobie miękki kapelusz...

— Nie... twardy... melonik... — jak ten pan — poprawił komisarz, wskazując mój kapelusz.

— Nie, kapelusz miękki... twierdzę stanowczo — powtórzyła pani Renaud — i szary wcięty paltot.

— Istotnie — mruknął komisarz — telegram zwraca uwagę na szary, wcięty paltot z czarnym aksamitnym kołnierzem.

— Istotnie, z czarnym aksamitnym kołnierzem! — zawołała pani Renaud tryumfująco.

Odetchnąłem. Jakąż w niej miałem dzielną, zacną przyjaciółkę!

Agenci tymczasem uwolnili mnie z więzów.

Zagryzłem gwałtownie wargi. Krew je zbroczyła. Zgarbiony we dwoje, zakrywając część twarzy chustką do nosa, jak przystoi człowiekowi, który czas dłuższy spędził w pozycyi bardzo niewygodnej i usta ma skaleczone kneblem — rzekłem do komisarza głosem stłumionym:

— Panie, to był Arseniusz Lupin... wątpliwości niema najmniejszej.. przy wielkim pośpiechu możnaby go dopędzić. Zdaje mi się, że mógłbym panom być użytecznym...

Odczepiono wagon, który miał służyć sprawiedliwości, jako dowód rzeczowy. Pociąg pośpieszył dalej, do Hawru.

Odprowadzono nas do biura zawiadowcy stacyi.

Szliśmy wśród tłumu ciekawych, tłoczących się na peronie.

Miałem chwilę wahania. Pod pierwszym lepszym pozorem oddalić, się odnaleźć swój samochód i zniknąć. Czekanie pociągało za sobą niebezpieczeństwo. W razie jakiegoś nieprzewidzianego wypadku lub depeszy z Paryża byłem zgubiony.

Tak, lecz co się stanie ze złodziejem! Pozostawiony własnym siłom, w okolicy mało znanej słabe miałem szanse odnalezienia zuchwalca.

— Ba! — rzekłem do siebie — spróbujmy! Zostaję. Partya trudna do wygrania, lecz tak ciekawa! Gra warta świecy!

Zażądano, abyśmy powtórzyli swoje zeznania. Zniecierpliwiony zawołałem:

— Panie komisarzu, w obecnej chwili Arseniusz Lupin zyskuje na czasie! Mój samochód czeka na stacyi. Zechciej mi zrobić przyjemność... wsiadajmy i próbujmy szczęścia.

Komisarz uśmiechnął się z miną spryciarza...

— Myśl wcale dobra... do tego stopnia dobra, że jest już na drodze wykonania.

— A!...

— Tak, panie... dwu agentów wyruszyło na rowerach... już chwilę temu...

— Ale dokąd?

— Do wylotu tunelu... Tam zbiorą wskazówki, świadectwa i pojadą śladami Arseniusza Lupin.

Mimowolnie wzruszyłem ramionami.

— Agenci pańscy nie znajdą ani wskazówek, ani świadków.

— Doprawdy?

— Arseniusza Lupin nikt wychodzącym z tunelu nie zobaczy. Pójdzie najbliższą drogą, a ztamtąd...

— Do Rouen, gdzie go pochwycimy.

— Nie pójdzie do Rouen.

— W takim razie będzie się błąkał w okolicy, gdzie z większą jeszcze łatwością wpadnie w nasze ręce.

— Nie zostanie w okolicy.

— Ho, ho! Więc gdzież się ukryje?

Wyjąłem zegarek.

— W obecnej chwili Arseniusz Lupin snuje się dokoła stacyi Darnetol. O dziesiątej pięćdziesiąt, t. j. za dwadzieścia dwie minuty, wsiądzie do pociągu, idącego z Rouen do Amiens.

— Tak pan sądzisz? Zkąd pan masz tak pewne wiadomości?

— O, to bardzo łatwo. W wagonie Arseniusz Lupin zaglądał do mego przewodnika. W jakim celu? Chciał się dowiedzieć, czy w pobliżu miejsca, gdzie wysiada niema innej linii kolejowej, stacyi na tejże linii, wreszcie pociągu, któryby się na tej stacyi zatrzymywał. Zajrzałem również do przewodnika. I dowiedziałem się prawdy.

— Istotnie — zauważył komisarz — wniosek wyprowadzony cudownie. Jaka znajomość rzeczy!

Porwany głękokiem przekonaniem popełniłem straszną niezręczność; wykazałem za wiele sprytu. Komisarz spoglądał na mnie ze zdziwieniem. Zdawało mi się, że cień podejrzenia zrodził się w jego umyśle. O, cień zaledwie, gdyż fotografie,

rozsyłane przez prokuratorye na wszystkie strony, były bardzo niedokładne i mało podobne do człowieka, którego miał przed sobą. Niemożliwie, ażeby mię poznał! Wszelako był zmieszany i widocznie zaniepokojony.

Nastąpiła chwila milczenia. Coś dziwnego, nieokreślonego, odbierało nam mowę. Mnie nawet przebiegł dreszcz zakłopotania. Czyż by się szczęście miało odwrócić odemnie? Zapanowałem nad sobą i roześmiałem głośno:

— Mój Boże! Nic tak nie rozjaśnia umysłu, jak strata pugilaresu i żądza jego odzyskania. Zdaje mi się, że gdybyś pan zechciał dać mi dwu agentów do pomocy, udałoby się nam...

— O, proszę, pana, panie komisarzu — usłuchaj pana Berlat! — zawołała pani Renaud.

Interwencya mojej zacnej przyjaciółki rozstrzygnęła sprawę. Nazwisko Berlat wymówione ustami tej kobiety, żony wpływowego urzędnika, stawało się mojem własnem, stwierdzało tożsamość, której już żadne posądzenie dosięgnąć nie mogło. Komisarz powstał:

— Wierzaj mi, panie Berlat, że szczęśliwym będę, jeżeli się panu powiedzie. Równie jak panu zależy mi na ujęciu Arseniusza Lupin.

Odprowadził mnie do samochodu. Przedstawił dwu agentów Honoyusza Massol i Gustawa Delivet, którzy mieli mi towarzyszyć. Usiadłem na skrzydle. Palacz zakręcił korbą. W kilka sekund później opuściliśmy stacyę. Byłem uratowany.

O, wyznaję szczerze, pędząc po bulwarach, otaczających stare normandzkie miasto z potężną szbkością trzydziestu pięciu koni Moreau — Lepton'a, doznawałem uczucia pewnej dumy. Motor sapał harmonijnie. Na prawo i na lewo migały szeregi drzew. Byłem wolny! Po za wszelkiem niebezpieczeństwem! Pozostawały do załatwienia drobne sprawy osobiste... i to przy pomocy dwu zacnych przedstawicieli obrony publicznej! Arseniusz Lupin — poszukiwał Arseniusza Lupin!

O, Gastonie Delivet i Honoryuszu Massol, skromne podpory porządku społecznego! Jak cenną była mi wasza pomoc! Cóżbym robił bez was? Ileż razy na zakrętach obrałbym mylną drogę. Bez was Arseniusz Lupin popełniłby błędy, a tymczasem przeciwnik mógłby zniknąć bez śladu.

Lecz nie wszystko jeszcze było skończone. O, nie! Trzeba mi było przedewszystkiem dogonić złodzieja, a następnie zawładnąć papierami, które mi zabrał. Za żadną cenę nie należało pozwolić, aby towarzysze moi zajrzeli do tych cennych dokumentów — nie mówiąc już o tem, żeby je mieli dostać w swe ręce. Posługiwać się nimi owszem — lecz działać tylko samodzielnie. Oto czego chciałem! Zadanie łatwem nie było.

Przybyliśmy do Darnetal w trzy minuty po odejściu pociągu. Na pocichę dowiedziałem się, że jakiś osobnik w szarym wciętym paltocie z czarnym aksamitnym kołnierzem wsiadł do przedziału drugiej klasy. Bilet miał do Amiens. Stanowczo debiut mój w roli detektywa był obiecującym.

— Pociąg ten ekspres — odezwał się Delivet — zatrzymuje się tylko w Montérolier, za dziewiętnaście minut. Jeżeli nie staniemy tam przed Arseniuszem Lupin szanowny włamywacz może pojechać do Amiens, lub też przesiąść w Clères, a ztamtąd udać się do Dieppe lub do Paryża.

— Jak daleko do Mentérolier?

— Dwadzieścia trzy kilometry.

— Dwadzieścia trzy kilomety w dziewiętnaście minut! Dobrze. Będziemy tam przed pociągiem.

Szalony kurs. Nigdy jeszcze mój wierny Moreau-Lepton tak gorliwie i wytrwale nie spełniał mych chęci.

Zdawało mi się, że narzucam mu wolę swoją bezpośrednio, bez pomocy dźwigni i korby.

Podzielał moje pragnienia. Powchwalał zaciętość. Rozumiał wrogie uczucia, jakie żywiłem względem Arseniusza Lupin. Łotr! zdrajca! Czy odniosę tryumf? Czy też raz jeszcze łajdak ten zadrwi z władzy, której jestem uosobieniem?

— Na prawo! — komenderował Delivet. — lewo! prosto!

Zaledwie dotykaliśmy ziemi. Migały kopce graniczne jak małe tchórzliwe zwierzątka.

Nagle na zakręcie drogi słup dymu. To ekspres północny.

Pędziliśmy obok siebie. Cały kilometr trwała walka zacięta... walka nierówna, której wynik był niewątpliwy. Wyprzedziliśmy pociąg o dwadzieścia długości.

W trzy sekundy byliśmy już na peronie, przed wagonami drugiej klasy. Otworzono drzwiczki. Wysiadło kilku podróżnych. Złodzieja nie było. Obeszliśmy wszystkie przedziały. Ani śladu Arseniusza Lupin.

— Dalibóg! zawołałem — poznał mnie w samochodzie, gdyśmy pędzili obok siebie i wyskoczył.

Nadkonduktor pociągu potwierdził moje przypuszczenie. Widział jakiegoś człowieka, staczającego się z nasypu o dwieście metrów od stacyi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WACHLARZE, rękawiczki, torebki, paski, wstążki, pończochy i t. d. Pudry, mydła, perfumy, wody kolońskie

:: :: Grzebyki ozdobne do włosów :: ::

poleca

C. Szczurkowski

KRAKÓW, GRODZKA 2.

Zlecena pocztowe odwrotnie.

W niedzielę i święta zamknięte.

Pewny dach nad głową

ma ten, kto kryje dom paloną

Dachówką Ciesielskiego

16b

W Krakowie, ul. Garncarska 14. — Telefon 1079. —

NOWO OTWORZONA

KAWIARNIA „Casino"

w Krakowie, Rynek gł. l. 12

I-sze piętro.

∴ ∴ ∴ Sale bilardowe. ∴ ∴ ∴

Szachy.

Pokoje do gier towarzyskich.

Czytelnia.

Polecając się łaskawym względom P. T. Publiczności, pozostaję

z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

WRZOS

NR 26

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Olbrzymie obory tworzyły czworobok, ludzie się kręcili tu i tam, zadając wieczorną paszę, w budynku u bramy rozlegał się gwizd centryfugi.

Przez otwarte okno tego budynku wyjrzała na turkot furgonu młoda dziewczyna, w szafirowej płóciennej bluzie i zawołała Stacha.

— Masz kwit?

— Mam, proszę panienki.

— Dawaj żywo! Czegoś się opóźnił?

— Olaboga! Anim chwilczyny nie zmitrężył. Stangret Paweł może świadczyć, co po warszawskich gości jeździł.

Chłopak ku stajniom ruszył, i po chwili wrócił z kwitem w garści.

— Galantom zdał — wzięli za to dziewięć złotych, a tyle mi oddali! — rzekł kładąc na stoliku trochę srebra i miedzi.

Dziewczyna obejrzała kwit, wciągnęła go do ksiąg, których stos leżał na stoliku, odrachowała pieniądze, wpisała rozchód, śpiesząc się bardzo.

Stach stał, i patrzał, mnąc w ręku rubla.

— Możesz iść — rzekła, oczu nie podnosząc.

— Konie panięce zaprzęgać? — spytał.

— Naturalnie! Żywo.

— Ja chciał panience coś pokazać — uśmiechnął się.

Spojrzała na niego.

— Dostałem od tych gości, co do dworu pojechali! — rzekł, pokazując rubla.

— Za co? — zdziwiła się.

— Albo ja wiem. Jechałem se śpiewając — minęli mnie — było dwóch — jeden stary, drugi młody. Ten stary rzucił mi papierek.

— No — było podziękować! — rzekła chmurno, zbierając kapelusz i rękawiczki.

Stacho głową pokręcił. Z tą swoją panienką był on trochę kolegą.

Gdy go malcem przywieziono z Galicyi — sierotę — szukali razem gniazd w sadzie, a potem ona go czytać i pisać uczyła.

Dziś na stacyi Paweł stangret gadał z lokajem, że po kawalera do panienki przyjechali.

Stacho chciał się koniecznie dowiedzieć, czy to prawda, a jakoś nie śmiał. Panienka była gniewna, czy zmartwiona, nie chciała rozumieć.

Pokręcił Stacho głową, westchnął i poszedł konia zaprzęgać.

Młoda dziewczyna rozmówiła się jeszcze z pisarzem i dozórcą mlecznym i wyszła przed sień.

Stacho już zajeżdżał jednokonną bryczką.

Wsiadła do niej i ruszyła za bramę. Koń znał drogę, codziennie dwa razy ją odbywał, o świcie i późnym wieczorem.

Dziewczyna tedy nie kierowała nim i wolno puściwszy lejce, rozglądała się po polach.

Wiedziała, kto są goście i w jakim celu przyjeżdżają, że tam czekają na nią, że się opóźniła, czekając na Stacha, przecie się nie spieszyła. Wzrok jej spoczął na kępie drzew na horyzoncie i wahała się.

Nagle targnęła lejce, skręciła konia i tęgim kłusem ruszyła ku tej kępie drzew, pozostawiając Gurów na stronie.

Spóźni się jeszcze o godzinę, ale być tam musi dziś jeszcze.

Łuny zachodu już gasły, przejrzysty, cudny zmierzch ogarniał krajobraz, po gajach zawodziły słowiki.

Smagłe policzki dziewczyny pałały ogniem, usta kurczyły się bólem, oczy były pełne łez.

Polną drożyną sprostowała odległość i wjechała na podwórze gęsto krzewami zarosłe, pod drewniany stary dom, stojący wśród zdziczałego sadu.

Na ganku stara kobieta siedziała samotna.

— To ty, Kaziu! — zawołała zdziwiona. — Zkądże... w roboczy dzień, wieczorem. Jakżeś się uwolniła?

Dziewczyna uwiązała konia do ganku i stanęła przed nią, dysząc jakby pieszo tu biegła.

— Wcalem się nie uwolniła. Jadę z Porębów do dworu. Zboczyłam do babci — na chwilę — po ostatnie słowo. Prezes przyjechał z synem po ostateczną decyzyę.

Umilkła chwilę, połknęła może łzy.

— Czy on już naprawdę nie wróci, babciu? — szepnęła.

Staruszka potrząsła głową żałośnie.

— Oj nie, oj nie! — odparła staruszka.

— Bo ja mu przecie łamię wiarę! — ponuro rzekła dziewczyna. — Babcia choć nie wierzy, chroni mu przecie ten dom i szmatek ziemi... i czeka... a ja... mam zdradzić?

— Moje dziecko, nie nam się równać! Ja jego nie czekam, ani dni dożywam. Ja już nie mam obowiązków, jam swoje odbyła, odcierpiała, odpracowała. Tobie trzeba swoje spełnić. Ty nie zdradzasz, ty nie łamiesz wiary; ty musisz życie przeżyć.

— Babcia wie, że gdyby nie ojciec zniosłabym stokroć więcej jeszcze. Ale patrzeć nie mogę na jego wyrzuty i zgryzotę. Muszę zejść z oczu pani Tomkowskiej. Wiem, że to, co mnie czeka, jeszcze będzie gorsze, ale przynajmniej ojciec nie będzie codziennym świadkiem.

Zamilkła, smutnemi oczyma patrząc przed siebie.

— Żeby choć wieść, że on żyje, żeby choć we śnie! — szepnęła ponuro.

— Gdyby żył, wieśćby była. Grób tylko milczy! Ty, dziecko kochane, z czystem sumieniem ofiarę spełnij. Ojciec ci pierwszy!

— Babcia mnie w sercu zachowa?

— Jak wnuczkę jedyną.

Dziewczyna przypadła do jej kolan i łkała długą chwilę. Potem się podniosła, otarła łzy i ucałowawszy ręce staruszki, milcząc, zeszła z ganku.

— Przyjedź-że prędko! — pożegnała ją łagodnie.

— Jutro wieczorem!

Koń ruszył. Dziewczyna już nie dała sobie roztkliwiać się.

Wolę miała bardzo silną, postanowienie stałe. Gdy wjeżdżała w podwórze Gurowa, była zupełnie spokojną, prawie wesoła.

U bramy, niespokojny, czekał na nią ojciec. Już trzeci raz odchodził od gości, wyglądał jej przybycia.

— Nareszcie! — odetchnął. — Chodźże prędzej. Prezes się ciągle o ciebie dopytuje. Przyjechali już dawno.

Muszę się przebrać chyba.

— Tylko prędko.

Zawołał stajennego, by konia odprowadził, i poszli razem do oficyn.

Dom mieszkalny był jasno oświetlony, dwór cały obszerny, ślicznie zbudowany, luźny i zamożny. Kazia mieszkała w oficynie, z woli i rozkazu jasnej pani, która nienawidziła pasierbicy; antypatya była wzajemna, tylko Kazia umiała ją ukryć dla ojca.

Szpanowski wszedł za córką do jej mieszkania, i podczas gdy ona zmieniała bluzę roboczą na niedzielną sukienkę, stał u stolika, zapatrzony w płomień świecy, zamyślony, stroskany.

— Młody Sanicki bardzo przystojny, gładki! zaczął wreszcie wahająco — ale ma coś w sobie... czy ja wiem, coś zimnego, ostrego. Kaziu, jeśliby ci się nie podobał... zlituj się... nie idź. Ja się tak boję o ciebie!

— Otóż znowu tatko wynalazł sobie troskę! — odparła prawie śmiejąco. — Przecie Sinobrodym

tylko dzieci straszą. Jeśli podobny syn do ojca, tom gotowa do jutra już się zakochać.

Szpanowski odetchnął. Jakby cień zszedł mu z twarzy.

— Ty poczciwości. A pokażno się, czyś ładna? Obrócił ją do światła i z miłością patrzał.

Kazia była wysoka, trochę za chuda, niezbyt zgrabna, miała twarz mocno opaloną, oczy ciemne i poważne i ogromny warkocz, opleciony bez pretensyi w około głowy. Sukienka niedzielna, źle skrajana, nie ubierała, lecz szpeciła ją jeszcze. Ale Szpanowski tego nie widział, a ona o to nie dbała. Byle było czyste i całe!

— Chodźmy! — zawołał, całując ją w czoło.

Z oficyn sto kroków było do pałacu. Przeszli milcząc — obojga biło mocno serce.

W jadalni lokaje nakrywali do wieczerzy. Z salonu rozległ się silny, dźwięczny głos prezesa, a gruby śmiech pani domu.

— Ten nieoceniony prezes ze swym humorem — szepnął Szpanowski — od trzech godzin prawi, aż wszystkich rozruszał.

Znaczyło to, że i macocha była wesoła, co się nigdy nie zdarzało. Kazia uśmiechnęła się gorzko, nieznacznie.

Szpanowski drzwi otworzył. Jasne światło olśniło na chwilę dziewczynę, szumiało jej w głowie, nie wiedziała, co ma dalej z sobą robić, jak się poruszyć, i zatrzymała się u progu, czując się niezmiernie głupią i nieszczęśliwą.

Ale prezes czatował na tę chwilę, frazes urwał, podniósł się żywo z fotelu i szedł do niej uśmiechnięty, uradowany, z gotowem słowem.

— Witam panią. Dopominam się od godziny. Ale młodym do starych nie skoro. Panna Kazimiera nie dba o mumię prezesa. Za karę przywiozłem swoją młodszą edycyę. Pani pozwoli przedstawić sobie mego jedynaka. Proszę dla niego o sympatyę.

Od stołu, gdzie przerzucał ilustracye, Andrzej wstał, składając ukłon „stylowy“. Przytem jednem spojrzeniem objął postać dziewczyny i spotkał na sobie jej wzrok spokojny, poważny.

Egzamin trwał sekundę, potem Kazia nieśmiało podała mu rękę, bez słowa. Nie umiała zdawkowych frazesów.

— Pani, jak zwykle, zajęta. Jak to dobrze, że jutro święto. Skorzystamy przecie z pani towarzystwa! — mówił prezes.

Kazia spojrzała po salonie. Macochy nie było.

— Kiedy bo i ja w święto.. mam zajęcie! — rzekła, spoglądając ku ojcu.

— Jutro robimy sobie wakacye! — rzekł Szpanowski. — Panowie chcą obejrzeć gospodarstwo, urządzimy tedy wielką rewię i paradę naszej rolnej armii.

— Ano, to będę wolna! — uśmiechnęła się Kazia.

— Pani lubi wakacye? — spytał Andrzej.

— O lubię! — rzekła szczerze.

— To dowód młodości.

— Nie koniecznie! To dowód, że mam po czem odpoczywać.

— Racya! — zawołał prezes.

— Ja siebie do próżniaków nie liczę — zaprotestował Andrzej. Pracuję także w biurze technicznem, ale żebym się znowu tak bardzo cieszył z niedzieli... to nie!

— Bo pan ma ich pięćdziesiąt dwie na rok, a na wsi żadnej! — odparła Kazia.

— Jakto? Przecie na wsi także na ten dzień przerywa się roboty.

— Na roli. Ale inwentarz potrzebuje codzień starania. Przeróbka nabiału nie przerywa się nigdy.

— Tak, tak — nasze zajęcie to rozwiązanie kwestyi perpetuum mobile! — zaśmiał się Szpanowski.

W dalszych pokojach rozległ się płacz dziecka i zaraz potem głośne, dosadne strofowanie pani domu.

Mimowoli rozmowa się urwała i była sekunda przykrego milczenia. W tej chwili pani weszła do salonu, niosąc na ręku swą jedynaczkę.

— Prezentuję panu moją dziedziczkę! — zawołała do prezesa.

— Śliczny, rozkoszny dzieciak! Jakie oczy! — zachwycał się prezes tak czelnie, że Kazi krew uderzyła do twarzy, ze strachu, że się macocha obrazi.

Dziecko było szpetne. Z wielką głową, bezkształtnemi rysami, blade, anemiczne, grymaśne, snać i rozpuszczone bezmiernie. Było rzeczywiście kopią matki. Nos zadarty, policzki płaskie i szerokie, oczy małe blade. Tylko matka była czerwona i zdrowa, wysokiego wzrostu i otyła, a kopia prócz brzydoty miała jeszcze niezdrowie i wątłość.

Kazia niepotrzebnie się lękała. Pani Szpanowska połknęła jak cukierek komplementa prezesa i uśmiechnięta, pożerała rozkochanym wzrokiem małą szpetotę. Była to jedyna istota, którą kochała, oprócz siebie.

— No, Zosieńko, podaj panu rączkę, przywitaj się!

Ale Zosieńka popatrzała chwilę na prezesa, wykrzywiła się i pokazała mu język.

— A pfe! — upomniała ją matka, całując przytem.

— Rozkoszna psotnica! Szczęśliwy wiek szczerości! — zauważył uprzejmie prezes.

— Głupiutkie to jeszcze, a przytem służba uczy nie wiedzieć jakich zbytków. No, pobaw się Zosiu!

Postawiła ją na ziemi i rzekła do wystrojonej piastunki, która ją chciała wyprowadzić:

— Zostaw panienkę i możesz odejść. Niech się dziecko uczy bawić samo. To rozwija samodzielność.

— Ma pani dobrodziejka zupełną racyę. Samodzielności brak młodemu pokoleniu! — potwierdził prezes i zaraz, jak z rękawa, począł sypać przykłady rozmaitych systemów wychowania.

Kazia usunęła się w drugi koniec salonu i usiadła przy stole, gdzie Andrzej przerzucał czasopisma.

Znaleźli się odosobnieni i sami, bo Szpanowskiego odwołano do rządzcy. Szukając tematu, by rozmowę zagaić, młody człowiek, ze złośliwym, dyskretnym uśmiechem, śledził zabawę małoletniej gurowskiej dziedziczki.

Mała, zostawiona sobie, poszła przedewszystkiem do kosza pełnego kwitnących, cieplarnianych roślin, strojącego parapetowe drzwi do ogrodu, i poczęła pełnemi garściami rwać liście, kwiaty, całe rośliny, rzucała je sobie pod krzywe, niezdarne nogi, i deptała po nich.

Andrzej spojrzał na Kazię. I ona przypatrywała się tej zabawie. Zarumieniła się ze wstydu i podeszła do dziecka. Pochyliła się nad nią i łagodnie wyjęła z rąk cały hyacynt z cebulą.

— Nie psuj kwiatków, to je boli! — rzekła prawie prosząco. Dziecko nagle wrzasnęło dzikim głosem, rzuciło się do niej, wyrwało kwiat.

— Co to, Zosieńko! — zerwała się matka, i nagle do furyi podobna tupnęła nogą.

— Po co dręczysz dziecko! Jak śmiesz! — krzyknęła na Kazię. — Zerwała kwiat. Niech rwie. To wszystko do niej należy! Ona tu pani. Biedna Zosieńko... no, nie płacz... nie... rwij kwiatki. Zrób sobie bukiecik. Wolno dziecku, wolno!

Kazia blada, przerażona, cofnęła się bez słowa. Wróciła na swe miejsce, pochyliła głowę, i widział Andrzej, jak drżała na całem ciele.

Tedy nagle rozmowę zagaił, popchnięty żądzą wydostania się ztąd co najprędzej.

— Pani wiadomy cel naszej wizyty. Zdaje mi się, że im prędzej się porozumiemy — tem lepiej. Z woli ojców naszych i losu jesteśmy sobie przeznaczeni.

Mówił prędko, zniżonym głosem, nie patrząc na nią.

Gdy skończył, oczy podniósł. Kazia już zapanowała nad sobą, spotkał jej wzrok spokojny, poważny.

— Ojciec pana mówił ze mną! — odparła. — Ale jam mu nie powiedziała nic o sobie, co panu powiedzieć będę obowiązana.

Zdziwił się, prawie przeraził.

— Musimy sobie tedy poczynić obustronne zwierzenia! — odparł, uśmiechając się z przymusem. — Czy mamy zaraz zacząć?

— Sądzę, że nie. Za chwilę podadzą kolacyę, a tutaj, to trudno.

— Zatem jutro poproszę panią o godzinę rozmowy.

Kazia, zamiast odpowiedzi, porwała ze stołu lampę. Był wielki czas, bo właśnie Zosia uchwyciła za róg makaty, którą stół był nakryty, i ledwie Andrzej miał czas się usunąć, wszystko, co było na stole: książki, gazety, albumy, porcelanowy wazon, kryształowa patera na bilety, popielniczki, noże do papieru, skrzynka z cygarami — z wielkim hałasem i brzękiem spadło na ziemię, a razem z tem upadła Zosia, podnosząc natychmiast wrzask piekielny.

Na to nawet prezes nie znalazł komplementu, a jako amator i zbieracz starożytności, załamał ręce nad skorupami serwskiego wazonu.

Pani Szpanowska przypadła do dziecka.

— O mój Boże! skaleczyła się!

Dziecku nic się nie stało, ale wiedziało, że za wrzask dostanie cukierków. Używało tedy, aż Andrzej mimowoli uszy zasłonił.

Szpanowska zwróciła się do Kazi.

— Nie mogłaś biedactwo zatrzymać? I owszem! Na życie jej nastajesz! Umyślnie lampę zdjęłaś, żeby straciła opór i upadła. Marysia, zabierz panienkę. Zaraz zimnej wody do główki. Przepraszam pana. O mój Boże! Może być wstrząśnienie mózgu! I wyniosła dziecko.

W tej chwili wszedł Szpanowski, za nim lokaj.

— Co tu się stało?

— Mój łaskawco! Najcenniejsza marka! — odparł prezes, stojąc w żałosnej pozie nad szczerbami wazonu. Obejrzał się, że pani niema, i ciszej dodał, by tylko Szpanowski słyszał.

— Zlitujcie się! Kata sobie chowacie!

— Ja! — Szpanowski gorzko się uśmiechnął. — Ja ani chowam, ani tu co znaczę. Wiem, co będzie, ale zmienić nie mogę, i tyle pociechy,

że pewny jestem, iż nie dożyję owoców tego systemu.

Usunęli się do kominka i rozmawiali dalej półgłosem, spoglądając na młodą parę.

Lokaj tymczasem sprzątnął trofea samodzielności Zosi, a Andrzej już swobodniej zagaił rozmowę z Kazią.

— Pani zapewne zna Warszawę?

— Nie byłam tam nigdy!

— Nie może być! — zdumiał się, uszom nie wierząc.

— Tak się złożyło. Chowałam się bez matki, ojciec był zawsze bardzo zajęty. Bywał w Warszawie chwilowo sam, bobym mu zawadzała tylko. Potem spędziłam kilka lat w klasztorze w Galicyi. Znam Lwów i Kraków, mamy tam dalekich krewnych, a w Warszawie ani jednej znajomej osoby.

— Niewiele się pani bawiła w życiu!

— Nie. Raz tańczyłam w Lublinie na ostatki.

Przyznała się szczerze. Ojciec nie lubi zabaw i czasu niema. Na zabawy trzeba mieć dużo wolnych chwil, swobodnej myśli i kółko znajomych. A tutaj nie mamy stosunków. Jest kilka domów, gdzie bywa macocha, a ja nie, gdy tu przyjeżdżają, ja ich nie widuję. Dużo jest roboty.

Coraz bardziej pochwalał Andrzej wybór ojca. Z taką żoną nie będzie miał kłopotu. Nie będzie wiedziała nawet, co znaczą wymagania.

— Więc nie lubi pani zabaw?

— Nie. To, co się tak nazywa, jest bardzo bezmyślne. Po tych tańcach byłam tydzień nie swoja i chora. Gdybym miała kiedy wolny czas, lubiłabym czytać, ciągle czytać, albo grać...

Urwała, widząc cień niechęci na jego twarzy.

— Ale, broń Boże, komuś! Tak, samej sobie o zmroku. Zresztą, możebym już nie potrafiła. Od klasztoru nie grałam nigdy.

— Pani dobrze klasztor wspomina.

— O! Bo mi tam było jak w raju. Lepiej być nie może.

— Może pani była jednocześnie z panną Zaleską?

— Z Tunią? A jakże. Siedziałyśmy na jednej ławce. Może pan ją zna?

— Naturalnie! Wyszła za mego przyjaciela Dębskiego. Bywam u nich w Warszawie, i podzielam pani sympatyę dla pani Marty. Nie znam dowcipniejszej kobiety i swobodniejszego koleżki.

— Myśmy z nią też kologowały we wszystkich figlach — odparła Kazia, już zupełnie ośmielona.

Twarz jej się ożywiła, oczy świeciły żartem i swawolą. Musiała być bardzo wesołą i dziecinną jeszcze w gruncie. Andrzeja zaczynałe bawić.

— Bagatela! — roześmiał się. — Więc bywają figle w klasztorze? A byli w to zamięszani studenci?

Kazia oburzyła się ogromnie.

— Studenci! Po co? Gdzie? Przecie to na wsi było, a nam wcale studeci nie byli w głowie! O! pan nie zna klasztorów i ich ducha. Pan wie, że jeśli w książce był zakreślony ustęp, tośmy go nie czytały. Za nic!

— Pani daruje, ale nie wierzę. Jestem pewny, że pani Tunia czytała — roześmiał się.

— I Tunia nie, bo ona wcale nie ciekawa była książek. Ja za siebie mogę przysięgnąć.

— Czy i nadal zachowała pani taką siłę woli do zakazanych rzeczy?

— Jeśliby mnie wzięto na słowo, to bym dotrzymała.

— A jakby pokusa była za silna?

— Jabym się wcale nie dała kusić i nie myślałabym więcej o tem.

— O pani! To pani jeszcze chyba pokus nie zna.

Kazia poczerwieniała aż po białka oczu. Nie były to żadne wyrzuty sumienia, ale prostotę jej i powagę uraził ton ironiczny Andrzeja. Straciła swobodę.

— Co do owych zakreślonych ustępów spytamy o to pani Tuni! — mówił dalej żartobliwie. — Jakież tedy figle płatają się po klasztorach?

— O, różne! — odparła już sztywnie. — Było nas przecie kilkadziesiąt, konceptu nie brakło.

— Urwała i spojrzała z pod brwi w głąb salonu. Pani Szpanowska wchodziła, i Kazia z daleka czuła jej straszny wzrok na sobie, instynktem bała się sceny.

— Państwo zawsze wieczory tu spędzają razem? — spytał Andrzej półgłosem.

— O nie! Gdzież tam. Przychodzimy tylko na kolacyę. Ojciec do późna z administracyą konferuje, ja u siebie czytam.

— A co pani czyta?

— Obecnie? Kalinki „Sejm czteroletni".

— A przedtem?

— Przedtem miałam Szekspira.

— A powieści?

— Powieści tam niema prawie.

— Gdzie? Tam?

— U babci Boguskiej.

— Żyje babka pani?

— Nie — ona mi nie babką. Daleka krewna matki, ale ją wszyscy babcią nazywają, więc i ja

tak o niej i do niej mówię! Bardzo, bardzo stara, i taka dobra!

— I ma bibliotekę?

— To jej wnuka książki.

— W tej chwili otworzono drzwi jadalni, oznajmiając kolacyę. Prezes podał ramię Szpanowskiej — rozmowa młodych się przerwała.

U stołu mówiono o koniach, o kwestyach ekonomicznych, trochę o polityce. Kazia nie otworzyła ani razu ust: Andrzej składał swą towarzyską daninę pani domu, która szeroko i długo opowiadała o swych stosunkach w Warszawie za życia pierwszego męża, o jego cnotach i zdolnościach, o stracie, jaką z jego śmiercią poniosło społeczeństwo, okolica i ona sama.

Andrzej słyszał od ojca, że nieboszczyk Tomkowski zrobił fundusz przypadkowo na akcyach, że był mniej, jak nieroztropny, że fundusz utrzymał i potroił Szpanowski, że pożycie państwa Tomkowskich było nieustającą domową wojną, a stosunki w Warszawie ograniczały się do wełnianego jarmarku i bywania w teatrze.

Ale słuchał uprzejmie i udawał, że we wszystko wierzy.

Szpanowski, ten wcale tego nie słuchał. Zapewne umiał na pamięć. Debatował gorąco z prezesem o karygodnem graniu na giełdzie fikcyjnem zbożem.

Kazi kolacya wydawała się bez końca. Zmęczona fizycznie dwunastogodzinnem zajęciem, miała jedno wrażenie: pozbyć się towarzyskiego przymusu, schować się do swej izdebki, i pomyśleć spokojnie o tem strasznem jutrze. Takiego lęku doświadczała w klasztorze, gdy coś zbroiła, i wzywano ją do przełożonej na morały. Teraz będzie jeszcze gorzej. Musi się spowiadać przed obcym człowiekiem, wyznać mu tajemnicę swą najdroższą. Chwilami miała wielką pokusę milczeć, ale potem wrodzona prawość dokuczała jej nieznośnie. O, wieleby dała, żeby już było po tej rozmowie. Była pewną, że wysłuchawszy jej, Andrzej się cofnie i rada była temu. To znowu żal jej było ojca, który się tak cieszył jej zamążpójściem. I tak biła się z myślami.

Nareszcie wstano od stołu. W salonie, gdy Kazia rozmyślała, jak się wymknąć, prezes się do niej przysiadł, zostawiając syna na pastwę pani domu.

— Cóż, nie bardzo straszni Warszawiacy! — spytał żartobliwie.

— Pan prezes zawsze zię ze mną droczy! Ja wcale bojaźliwa nie jestem.

— Jużeście się porozumieli?

— Oj, nie! — odparła żałośnie. — Jutro mamy mieć okropną rozmowę!

— Niema nic okropnego! On będzie prawić to samo, co już pani odemnie wie. Niech się pani nie przeraża — to minie, jak zły sen. Przyszłość w pani ręku.

Kazia milczała, prezes się przestraszył.

— Niechże pani mnie starego nie zawiedzie. Ogromnie już panią kocham, marzę o synowej. Życie pani różami wyścielę. Zwyciężymy, pani!

— Dziękuję panu serdecznie. Ale może pan Andrzej mnie nie zechce, gdy — lepiej pozna.

Prezes markotnie głową pokręcał.

— Cała bieda w tem, że on ślepy i głuchy obecnie. Gdyby poznać chciał!

Pani domu dała hasło do spoczynku.

Zaczęto się żegnać, i Szpanowski odprowadził gości do przeznaczonego dla nich pokoju.

Gdy Saniccy zostali nareszcie sami, prezes ciekawie spojrzał na syna, który ziewał na potęgę.

— No i cóż? Jakie masz wrażenie — spytał.

— Nie pamiętam, żebym się kiedy tak zanudził! Aaa — czuję migrenę i dreszcze. Brr!... To ci pańszczyzna!

— Słodkie oni tu mają życie z tą starą! A dziecko! I pomyśleć, że jeśli się to wychowa, będzie milionową dziedziczką, rozrywaną partyą!

— Bogu dzięki — nie dla mnie! — ziewnął Andrzej.

— Jakże ci się moja Kazia podobała?

Ciąg dalszy nastąpi).

Niniejszy numer jest ostatnim w bieżącym kwartale.
Kto niechce doznać przerwy w odbiorze numerów, niech jak najrychlej odnowi przedpłatę na poczcie.

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Jedną z najnieubłagańszych trudności był niedostatek, jaki naówczas cierpieli; zapasy z Europy wyczerpały się, bo musieli często żyć o własnym koszcie. Karol co miał oddał towarzyszom; Pułaski co mógł to w pułki wkadał, a płaca nie dochodziła... Były dnie, trudno uwierzyć temu — prawie bez chleba... żyło się o miłosierdziu Bożem i cnocie rycerskiej.

Rogowski ani śmiał się spytać, skąd się wezmą pieniądze na ucztę... wiedział bowiem, że ich nie było u nikogo.

Karol miał od ojca dany zegarek złoty z łańcuchem, długo oszczędzał go, wahał się, żałował... ale dla wodza ukochanego możnaż było poskąpić ofiary? Poszedł i sprzedał go po cichu... Z tego grosza miała się wilia odprawić.

Szło tylko o opłatek...

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić lub ominąć — niedostatek opłatka... był niewynagrodzony. On właśnie jest znamieniem wilii, on jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilią całą, bez niego wieczerza na sianie... tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol rozmyślał o upieczeniu opłatka, gdy chodząc na zwiady, dowiedział się, że w niedalekiej osadzie, która była, jakby przedmieściem Trenton, zwanej Lamberton, za rzeką Sapping, mieszkał ksiądz, francuz, który tam w kapliczce urządzonej w pokoju, mszą dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Nie potrzebowano się taić zbytecznie z katolicyzmem, ale w czasach wojny, w chwilach rozdraźnienia, wśród większości protestanckiej, fanatycznej, nie chciano się na szyderstwa jej narażać.

Karol siadł na koń, aby dobiedz do Lamberton do księdza... Już był minął ostatnie domki osadników i miał się puścić za rzekę, gdy na drodze zjechał się z obcym, widocznie podróżującym, nieznajomym mężczyzną. Był to człowiek młody jeszcze... z podziwieniem Karol spostrzegł na nim, po amerykańsku zrobioną, ale polską taratatkę... Rysy jego nie piękne, ale miłe, łagodne i ożywione, miały w sobie coś tak polskiego, że Karol uderzony i strojem i twarzą, machinalnie konia powstrzymał. Przybywający do Trenton od Pensylwanii był wzrostu niewielkiego, krzepkiej budowy, twarzy oryginalnością uderzającej. Była w niej energia, siła i wielka dobroć i wielki smutek... coś obudzającego sympatyą i zaufanie.

Podróżny wpatrywał się też w Karola, którego rysy piękne nosiły także wybitny charakter polski. Stali tak na gościncu chwilę, naprzeciw siebie — niepewni.

Przybywający siedział na koniu objuczonym i miał z sobą przewodnika. Wszystkich już w okolicy Trenton znał Karol, ten widocznie był gościem z daleka.

Obaj mieli pytanie na ustach... Po mundurze poznawszy wojskowego, podróżny wreszcie, przyłożywszy rękę do czapeczki, odezwał się po angielsku.

— Czy znajdę w Trenton Brygadyera Pułaskiego? Pan pewnie należysz do jego oddziału, lękam się, by nie był na wyprawie jakiej?

Karol mówił już nie źle po angielsku, po wymowie pytającego poznał w nim cudzoziemca, to go utwierdziło w przekonaniu, że Polakiem być musiał.

Serce mu uderzyło do tego człowieka, sam nie wiedział jak wyrwało mu się słowo polskie.

— A! Polak! brat! zawołał ochoczo podróżny. I oba nie pytając więcej, skoczyli z koni aby się uściskać... jak bracia rodzeni po długiem rozstaniu.

— Co za szczęście! zawołał Karol.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Najwyższy czas odnowić przedpłatę!

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Nikt nie pomyślał o Simonie, który również powziął pewien zamiar.

Przybył on w końcu z opisanego dopiero posiedzenia i dowiedział się, co gmina postanowiła.

— Ah! potrzeba więc formalnej denuncyacyi dla ukończenia całego interesu — rzekł — poczekajcie za pięć minut przyniosę ją.

— Cóż tam znowu? — spytał prezes.

— Oto — odpowiedział szewc — odważna obywatelka Tison donosi o tajemnych podstępach Maurycego, stronnika arystokratów i o knowaniach drugiego fałszywego patryoty, jego przyjaciela nazwiskiem Lorina.

— Strzeż się, strzeż się, Simonie! Gorliwość twoja dla sprawy narodu zbyt cię może unosi — rzekł prezes — Maurycy Lindey i Hyacynt Lorin są to znani ludzie.

— Obaczymy to w trybunale — odpowiedział Simon.

— Zastanów się Simonie, że będzie to gorszący proces dla wszystkich dobrych patryotów.

— Gorszący lub nie, to mi tam wszystko jedno! Alboż ja się boję jakiego zgorszenia? Wyjdą przynajmniej na jaw wszyscy zdrajcy.

— Trwasz więc zawsze w zamiarze denuncyowania w imieniu starej Tison?

— Dziś wieczór sam osobiście denuncyuję braciom sznurkowym ciebie i ich, obywatelu prezesie, jeżeli nie każesz aresztować zdrajcy Maurycego.

— Zgoda niech i tak będzie — rzekł prezes, który podług zwyczaju w owym nieszczęśliwym czasie, drżał przed każdym, kto głośniej krzyczał. — Zgoda, Maurycy będzie aresztowany.

Gdy nastąpiła ta decyzya, Maurycy wrócił do Temple i zastał tam list następujący:

„Zapewne nie zobaczymy się aż jutro rano, bo nas gwałtownie i niespodzianie spędzono z warty; przyjdź do mnie na śniadanie, opowiesz mi o wszystkich spiskach odkrytych przez majstra Simon. W tej chwili spieszę do Bogini Rozumu, a skoro się zobaczymy, wyznam ci nawzajem wszystko, co mi na to powie Artemiza.

Twój przyjaciel
Lorin".

„Nie mam nic nowego — odpisał Maurycy — śpij spokojnie i śniadaj jutro bezemnie, gdyż z powodu dzisiejszych wypadków, nie wyjdę zapewne przed południem.

„Chciałbym być zefirem, abym mógł przesłać pocałunek róży, o której wspominasz.

„Pozwalam ci wygwizdać moją prozę, podobnie jak ja wygwizduję twoje wiersze.

Twój przyjaciel,
Maurycy".

„P. S. Zdaje mi się zresztą, że fałszywą tylko puszczono pogłoskę o spisku".

Dzięki niegodnemu wnioskowi szewca, Lorin wyszedł był w istocie z Temple, około jedenastej wraz z całym swym batalionem.

Nowy czterowiersz i Artemiza pocieszyły go w tem upokorzeniu.

Na widok Lorina, Artemiza nie posiadała się z radości.

Jak mówiliśmy, pogoda była przepyszna; zaprojektowała więc mu przechadzkę po wybrzeżach.

Idąc rozmawiali o polityce, Lorin opowiadał o swojem wygnaniu z Temple i domyślał się rozmaitych okoliczności co je wywołać mogły. Gdy podeszli ku ulicy des Barres, spostrzegli kwiaciarkę, która podobnie jak i oni szła prawym brzegiem Sekwany.

— Ah! obywatelu Lorin — rzekła Artemiza — spodziewam się przecież, że kupisz mi bukiet.

— A jakże! — powiedział Lorin — dwa nawet jeśli ci to sprawi przyjemność.

I oboje podwoiwszy kroku, spieszyli ku kwiaciarce, która także szła zbyt szybko.

Przybywszy na most Maryi, młoda dziewica stanęła i wychyliwszy się za baryerę, wysypała kwiatki w rzekę.

Pojedyńcze kwiateczki przez chwilę bujały w powietrzu, ale związane bukiety pociągnięte własną ciężkością spadły szybciej, a potem wszystkie razem pływając po powierzchni, znikły uniesione pędem wody.

— Masz tobie! — rzekła Artemiza — patrząc na kwiaciarkę w tak dziwaczny sposób handlującą — powiedziałby kto, że to... ale tak... oh! nie... oh! tak... tak... Ah! jakże to dziwnie!

Kwiaciarka rzuciwszy błagalne spojrzenie na Artemizę, położyła palec na ustach, na znak, aby milczała i znikła.

— Co to jest? — spytał Lorin; — czy znasz tę śmiertelną istotę, moja bogini.

— Nie, zrazu tak mi się zdało... Ale omyliłam się.

— Jednakże dawała ci znaki — nastawał Lorin.

— Dlaczegóż została dziś kwiaciarką? — sama siebie spytała Artemiza.

— Przyznajesz więc Artemizo, że znasz ją? — spytał Lorin.

— Tak jest — odpowiedziała Artemiza — czasem kupuję u niej kwiaty.

— Cokolwiekbądź ta kwiaciarka — rzekł Lorin — ma szczególne sposoby prezentowania swego towaru.

I spojrzawszy oboje po raz ostatni na kwiaty, które porwane siłą nowego ramienia rzeki, dopływały już ku drugiemu mostowi, poszli w dalszą drogę do restauracyi, w której sam na sam jeść mieli obiad.

Wypadek ten nie zaraz skutki swe objawił; że jednak był niezwyczajny i tchnął jakąś tajemnicą, utkwił więc mocno w poetycznej wyobraźni Lorina.

Tymczasem denuncyacya starej Tison wymierzona przeciw Maurycemu i Lorinowi, wielką wznieciła wrzawę w klubie Jakobinów. Maurycemu oświadczono w Temple, że publiczna pogarda zagraża jego swobodzie.

Tym sposobem dano poznać młodemu urzędnikowi, aby się ukrył jeżeli poczuwa się do winy. Atoli Maurycy przeświadczony o spokojności sumienia swego, pozostał w Temple aż do chwili, w której przyszli go aresztować.

Natychmiast przystąpiono do wybadywania go. Mimo to Maurycy stale postanowił nie wikłać w swą sprawę żadnego z swych przyjaciół, których był pewnym, atoli nie chcąc milczeniem jak bohater romansu narażać się na śmieszność, żądał aby przywołano kwiaciarkę.

Lorin wrócił do domu dopiero o piątej wieczorem: natychmiast dowiedział się, że Maurycego aresztowano, i że żądał przywołania jakiejś kwiaciarki.

Zaraz więc stanęła mu na myśli kwiaciarka z mostu Maryi rzucająca bukiety w wodę. Nagle wpadł na ślad całej sprawy.

Ta szczególna kwiaciarka, tożsamość cyrkułów, półwyznanie Artemizy, wszystko przepowiadało mu głośno, że w tem właśnie znajdzie wyjaśnienie tajemnicy, której wykrycia domagał się Maurycy.

Wyskoczył więc ze swego pokoju, jak na skrzydłach przeleciał cztery piętra i pobiegł do bogini rozumu, którą zastał haftującą złote gwiazdy na niebieskiej gazowej sukni.

Była to suknia bóstwa.

— Dosyć tych gwiazd, kochana przyjaciółko — rzekł wpadając. — Dziś rano aresztowano Maurycego, a wieczorem pewno i mnie aresztować będą.

— Maurycy aresztowany!

— Tak, dla Boga! tak, w dzisiejszych czasach nic pospolitszego jak wielkie wypadki, nie zwracamy na nie uwagi z powodu ich mnóstwa. Ale, że wszystkie wypadki są prawie zawsze skutkiem drobnostek, nie zaniedbujemy więc tych drobnostek. Co to za jedna ta kwiaciarka którąśmy dziś rano widzieli, kochana przyjaciółko?

Artemiza zadrżała.

— Jaka kwiaciarka?

— Ej! do licha! ta co tak rozrzutnie sypała kwiaty swoje w Sekwanę.

— O! mój Boże! miałżeby ten wypadek być tyle ważnym, iż wspominasz o nim z taką natarczywością?

— Tak ważnym kochana przyjaciółko, że proszę cię, abyś natychmiast odpowiedziała na moje pytanie.

— Mój przyjacielu, ja tego uczynić nie mogę.

— Bogini! cóż dla ciebie nie podobnego!

— Zaklęto mię na honor abym milczała.

— A mnie zaklęto na honor abym cię zmusił do mówienia.

— Ale dlaczegóż tak nalegasz?

— Dlatego... Do kroć set! aby Maurycemu nie ucięto głowy.

— O! mój Boże! Maurycy pod gilotyną! — zawołała przelękła Artemiza.

— Nie mówię ci nic już o sobie także, chociaż doprawdy nie ręczę, czy mam jeszcze głowę na karku.

— O! nie, nie, zgubiłabym ją niezawodnie.

W tej chwili służący Lorina wpadł do mieszkania Artemizy.

— Ah! obywatelu — zawołał — uciekaj! uciekaj!

— A to dlaczego? — spytał Lorin.

— Żandarmi są u ciebie, podczas gdy wybijają drzwi, ja dostałem się przez dach sąsiedni i przybiegłem uprzedzić cię o tem.

Artemiza przeraźliwie krzyknęła. Rzeczywiście kochała Lorina.

— Artemizo! — spokojnie mówił Lorin — czylisz życie jednej kwiaciarki stawiasz na równi z życiem Maurycego i z życiem twego kochanka? Jeżeli tak, dowiedz się, iż przestaję uważać cię za boginię Rozumu, i ogłaszam cię za boginią Głupoty.

— Biedna Heloizo! — zawołała ekstancerka opery — nie moja wina że cię zdradzam.

— Dobrze! dobrze, kochana przyjaciółko — rzekł Lorin podając Artemizie kawałek papieru. — Jużeś mię udarowała jej chrzestnem imieniem; teraz napisz mi tu jeszcze jej nazwisko i adres.

— O! nigdy, nigdy — zawołała Artemiza — wolę ci raczej powiedzieć, aniżeli pisać.

— Mów więc i bądź spokojna, bo pewno go nie zapomnę.

Tu Artemiza głośno i wyraźnie powiedziała Lorinowi nazwisko i adres mniemanej kwiaciarki.

Nazywała się ona Heloiza Tison, mieszkała zaś przy ulicy Nonandières pod nr. 24.

Usłyszawszy to nazwisko Lorin krzyknął i uciekł czemprędzej.

Jeszcze nie dobiegł do końca ulicy, gdy przybył posłaniec z listem do Artemizy.

List ten składał się z czterech następujących wierszy:

„Ani słowa o mnie kochana przyjaciółko, wykrycie mego nazwiska zgubiłoby mię nieomylnie. Wstrzymaj się z tem do jutra, dziś wieczór opuszczam Paryż.

Twoja Heloiza“.

— O! mój Boże! — zawołała przyszła Bogini, czemużem tego nie przewidziała, czemużem do jutra nie czekała!

I poskoczyła do okna chcąc przywołać Lorina, jeżeli czas jeszcze, ale już go nie dostrzegła.

X.

Matka i córka.

Powiedzieliśmy już, że w kilka godzin cały Paryż dowiedział się o tym wypadku. W rzeczy samej w owej epoce łatwo było pojąć płochość rządu, którego polityka zawiązywała się i rozwiązywała na ulicy.

Straszna więc i groźna ta pogłoska dostała się także na starą ulicę św. Jakuba, i w dwie godziny po aresztowaniu Maurycego, dowiedziano się tam o tem.

Dzięki czynności Simona, szczegóły spisku wyszły czysto po za bramy Temple, ale, że każdy opowiadający je, musiał coś swego dodać, rzecz więc sama doszła nieco przerobiona do majstra garbarza; mówiono, że podano królowej jakiś zatruty kwiat, i że Austryaczka za jego pomocą uśpić miała wartę i wyjść z Temple, przytem do wieści tych przyłączyło się podejrzenie o niewierności batalionu, który wczoraj Santerre oddalił, i tak kilka osób odrazu skazywano na nienawiść ludu.

Ale na starej ulicy św. Jakuba nie mylono się wcale ani pod względem przyczyny, ani pod względem istoty wypadku. Morand i Dixmer wyszli natychmiast, zostawiając Genowefę w największej rozpaczy.

W rzeczy samej, jeżeliby nieszczęście spotkało Maurycego, Genowefa główną jego była przyczyną.

Ona to wiodła ciemnego młodzieńca za rękę aż do więzienia w którem go zamknięto, i z którego prawdopodobnie wyjdzie chyba na rusztowanie.

W każdym jednak razie Genowefa postanowiła niedopuścić, aby Maurycy głową opłacał dogodzenie jej kaprysowi. Jeżeliby go potępiono Genowefa miała sama oskarżyć się przed trybunałem, miała wyznać wszystko, wziąść odpowiedzialność na siebie, rozumie się na siebie samą tylko i kosztem własnego życia ocalić Maurycego.

I zamiast truchleć na samą myśl że umrze za Maurycego, Genowefa owszem znajdowała w niej jakąś gorzką błogość.

Kochała tego młodzieńca, a kochała bardziej niż przystało kobiecie nie do siebie wyłącznie należącej.

Nastręczała się więc dla niej sposobność odniesienia Bogu czystej, i nieskalanej duszy, którą od niego w darze otrzymała.

Morand i Dixmer po wyjściu z domu udali się każdy w inną stronę. Dixmer podążył ku ulicy de la Corderie, a Morand pobiegł na ulicę des Nonandièrs.

Atoli przybywszy na most Maryi, spostrzegł tłumy ciekawych paryskich próżniaków, które zwykle podczas lub przy jakim wypadku zapeł-

niają miejsce, na którem wypadek nastąpił, niby kruki po bitwie pole jej zalegające.

Widok ten wstrzymał spieszącego Moranda; nogi się pod nim zatrzęsły, musiał oprzeć się o baryerę mostu.

Na koniec po kilku chwilach, odzyskał znowu tę cudowną władzę, którą w ważnych okolicznościach miał nad sobą, wmięszał się między tłum, wypytywał się i dowiedział, że przed dziesięciu minutami wzięto z pod nr. 24 przy ulicy Nonandières, młodą dziewczynę, winną zapewne zbrodni o jaką ją obwiniono, ponieważ znaleziono ją przy pakowaniu swoich rzeczy.

Morand zapytał w którym klubie młoda dziewczyna ma być badana, i oznajmiono mu, że zaprowadzona została do głównej sekcyi, udał się więc tam natychmiast.

W klubie tłumy aż się dusiły. Morand jednak za pomocą pięści i łokcia, zdołał wsunąć się do jednej trybuny.

Naprzód spostrzegł wysoką postać; szlachetne oblicze i pogardliwą minę Maurycego, który stojąc w ławce oskarżonych wzrokiem swym kruszył perorującego Simona.

— Tak jest, obywatele — wrzeszczał Simon — tak, obywatelka Tison oskarża obywatela Lindey i obywatela Lorin. — Obywatel wspomina o jakiejś kwiaciarce na którą pragnie zwalić swą zbrodnię, ale uprzedzam was, że ta kwiaciarka nie znajdzie się, arystokraci ci uknuli spisek, który nikczemnie zwalają jedni na drugich. Widzieliście zresztą, że obywatel Hyacynt Lorin umknął z domu gdyście po niego przybyli. I nie znajdziecie go podobnie jak i kwiaciarki.

— Kłamiesz Simonie — zawołał wściekły głos — znajdzie się, bo oto jest!

I Lorin wpadł na salę.

— Miejsca dla mnie! miejsca! — wołał roztrącając widzów.

I umieścił się obok Maurycego.

To tak naturalne, wolne od wszelkiej przesady wejście Lorina, spełnione z całą szczerością i właściwą charakterowi tego młodzieńca siłą, najkorzystniejsze dla niego sprawiło wrażenie na trybunach, które poklaskując zawołały: brawo!

Maurycy uśmiechnął się tylko i podał rękę przyjacielowi, jak człowiek, który powiedział sobie, pewien jestem, że niedługo zostanę sam na ławce oskarżonych.

Widzowie z wyraźnem współczuciem spojrzeli na obu pięknych młodzieńców, których jak widmo zazdroszczące ich młodości i piękności oskarżał niegodny szewc z Temple.

Spostrzegł on, że nieprzyjazne wrażenie zaczyna ciężyć na nim. Postanowił więc zadać cios ostatni.

— Obywatele! — ryknął — żądam aby wysłuchano wspaniałomyślną obywatelkę Tison, żądam aby mówiła, aby oskarżała!

— Obywatele! — rzekł Lorin — a ja proszę abyście pierwej wysłuchali młodą kwiaciarkę, którą aresztowano i którą tu pewno zaraz przyprowadzą.

— Nie — odpowiedział Simon — to znowu będzie jakiś fałszywy świadek, jakiś stronnik arystokratów. Wreszcie obywatelka Tison pała niecierpliwością objaśnienia sprawiedliwości.

Przez ten czas Lorin rozmawiał po cichu z Maurycym.

— Dobrze — zawołały trybuny — dobrze niech stara Tison uczyni swoje zeznanie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

W zeszłym numerze rozpoczęliśmy druk prześlicznej powieści pod tytułem

„Wrzos“

napisanej przez Maryę Rodziewiczównę, autorkę „Strasznego Dziadunia“, „Dewajtis“, „Między ustami a brzegiem puharu“, „Na wyżynach“ i t. d.

W przyszłym kwartale zaczniemy drukować jeszcze jedną

bardzo zajmującą powieść.

Nowym abonentom pisma naszego wyślemy na życzenie bezpłatnie początek powieści „Wrzos“.

DZIAŁ KOBIECY.

Hygiena dziecka.

Śmiertelność wśród dzieci latem.

Śmiertelność dzieci podczas letnich miesięcy znacznie jest większą niż w innych kwartałach! Wszystkie choroby, razem panujące wśród ostrych pór roku, a mianowicie: błonica (dyfterytys), dławiec (krup), zapalenie płuc, nieżyty itp. nie wywołują tak wielkiej śmiertelności wśród dzieci, jak jedna jedyna biegunka letnia (cholera infantium).

W Londynie w ciągu 50-ciu lat (1844—1893) umierało na biegunkę w pierwszym kwartale roku 6 proc. dzieci, w drugim 10 proc., w trzecim 72 proc., a w czwartym 12 proc., czyli w jednym kwartale letnim 72 proc., podczas, gdy w trzech innych razem wziętych zaledwie 28 proc. W Berlinie śmiertelność dzieci z biegunki do piątego roku życia wynosi w lipcu, sierpniu i wrześniu około 55 proc. czyli przeszło połowę wszystkich przyczyn śmierci. Wogóle z chorób kanału pokarmowego umiera w Niemczech około 11 proc., w Austryi nawet 14 proc.

Nadto choroba ta jest tem niebezpieczniejsza, im niższym wiek chorego. W Niemczech na sto zmarłych przypada 34 w pierwszym roku życia, w Bawaryi 37, w Berlinie 37, a zatem przeszło trzecia część. Z tych znowu trzecia część przypada na miesiące letnie, a w wielkich miastach jeszcze więcej nawet.

W innych państwach i narodach statystyka wykazała podobne cyfry śmiertelności. W Atenach np. wedle profesora Zinnisa z 7526 dzieci, zmarłych w wieku do lat 5-ciu, 2208, a więc niemal trzecia część padła ofiarą tej choroby. Z tych 2208 dzieci, a zatem 80 proc., nie miało jeszcze roku. Wedle obliczeń profesora Hirsza z 705 epidemii biegunek spostrzeganych w klimacie umiarkowanym panowało: 529 w lecie, 137 w jesieni, 14 w zimie, a 25 na wiosnę; zatem w lecie przeszło trzy razy, niż w innych porach roku razem.

Choleryna zabiera wśród dzieci tysiące i dziesiątki tysięcy ofiar, a zależności jej od upału dowodzi fakt, że w południowych stanach Ameryki poczyna grasować już na wiosnę, która odpowiada naszemu latu. Im większe upały, tem pewniej i silniej występuje choleryna.

Jakaż przyczyna tej plagi? Przedewszystkiem organizm ludzki wskutek upału traci swą odporność przeciw rozmaitym chorobotwórczym czynnikom. Nadto w lecie kanał pokarmowy wszystkich ludzi nawet dorosłych, odznacza się wielką drażliwością i skłonnością do rozmaitego rodzaju chorób. Z własnego doświadczenia wiemy, że w lecie najmniejszy błąd w dyecie powoduje wymioty albo rozwolnienie, albo kurcze, lub wszystko to razem.

O ileż bardziej wrażliwym jest organizm dziecięcy!

Prócz tego upał letni w innym jeszcze kierunku działa szkodliwie. Podczas upałów niezwykle szybko rozmnażają się niezliczone drobne ustroje, które tak łatwo burzą ludzkie zdrowie. W zwykłych warunkach szkodliwe bakterye dostając się w niewielkiej ilości do organizmu ludzkiego, bywają przezeń zwalczane, lecz w lecie wszystko jest niemi przepełnione, roją się one w powietrzu, wodzie i na ziemi.

Potrawy pozostawiane z dnia na dzień ulegają rozkładowi, wytwarzając jady, które zatruwają organizm, choć w początkach nie są dostrzegalne. Najłatwiej zaś rozkładowi ulega mleko, to niezbędne pożywienie dla dzieci. Kwaśnieje ono latem w ciągu kilku godzin, a wtedy działa na dzieci, jak trucizna. Chcąc temu zapobiedz, należy mleko zaraz po kupieniu gotować, nie zadawalając się chwilowem zagotowaniem się mleka, lecz gotować przez pięć minut, aby zabić w niem wszystkie bakterye i ich zarodki. Ponieważ jak nowsze badania wykazały, dłuższe gotowanie mleka, zwane najaławianiem (sterylizacyą), bywa szkodliwe dla niemowląt, wyłącznie żywionych mlekiem krowiem, gdyż powoduje krzywicę (chorobę angielską), małokrwistość i chorobę Barlowa (szkorbut dziecięcy), przeto obecnie zastosowanem bywa pasteuryzowanie mleka, to jest dwukrotne ogrzewanie go do 60 stopni C. w kąpieli wodnej. Do garnka z gotującą się wodą wstawia się naczynie z mlekiem, a po podniesieniu się temperatury do 60 stop. utrzymuje się w tym stanie przez 15 minut, potem się wyjmuje, stawia w chłodnem miejscu na godzinę, poczem powtarza się to gotowanie jeszcze raz. Takie mleko jest znacznie smaczniejsze od wyjałowionego i nie jest szkodliwe.

Przed podaniem mleka dzieciom próbuje się odczyn jego niebieskim papierkiem lakmusowym;

zaczerwienienie się tegoż dowodzi, że mleko kwaśniało i nie nadaje się do picia. Butelka, smoczki i wogóle wszelkie przedmioty, mające jakąkolwiek styczność bądź z mlekiem, bądź z ustami dziecka, powinny być przed użyciem gotowane w gorącej wodzie, najmniejsza bowiem ilość zepsutego mleka działa jak ferment i psuje całą zawartość.

Biegunka letnia napada przeważnie dzieci żywione mlekiem krowiem, podczas gdy u dzieci piersią karmionych zdarza się bardzo rzadko. Z tego wniosek, że przegotowywanie mleka dla żywienia dzieci nie odbywa się wedle hygieny.

Znany lekarz chorób dziecięcych, profesor Bagiński wykazał, że ze 150 dzieci zmarłych na biegunkę, zaledwie 10 było wyłącznie piersią karmionych, podczas, gdy 140 sztucznie było żywionych, lub też obok pokarmu kobiecego dostawały jeszcze mleko krowie, kleiki, śmietankę itp. Podobneż wyniki wykazuje statystyka wszystkich innych krajów.

Przegotowywanie mleka krowiego dla dzieci powinno być świętym obowiązkiem matki, a nie służby i obcych osób, które aż nadto często, wskutek niezrozumienia rzeczy lub lekceważenia jej, źle spełniają te obowiązki.

Drugi błąd popełniany przy przegotowywaniu mleka dla dzieci polega na tem, że wodę przeznaczoną do rozcieńczenia mleka dolewa się dopiero po gotowaniu tegoż. Wskutek tego znajdujące się w wodzie drobne ustroje zakażają mleko, a poprzednie gotowanie traci całe swoje znaczenie. Co do mączek i innych sztucznych surogatów, tak szumnie a niecnie zachwalanych w ogłoszeniach — należy zawsze radzić się lekarza. Używane w wielu okolicach papki złożone z różnych substancyi mącznych, mleka, cukru i wody, są bardzo szkodliwe, nie posiadają dostatecznej siły odżywczej, ciężko się trawią, powodują wymioty, wzdęcia, rozwolnienia, zaparcia, niedokrwistość i krzywicę. Chyba to wystarcza, aby ich w zupełności unikać.

W wielu rodzinach panuje zły i niebezpieczny zwyczaj zabierania małych dzieci do stołu i dawania im do próbowania rozmaitych potraw pod postacią „oblizywania łyżki". Matkom się zdaje, że to nic nie szkodzi, sądzą nawet, że należy dzieci od najwcześniejszego dzieciństwa przyzwyczajać do potraw kuchni domowej. Następstwem tego rodzaju postępowania bywają zaburzenia żołądkowe, nieznaczne z początku, lecz wkrótce przechodzące w silne rozwolnienie. A gdy do tego przyłącza się jeszcze upał letni, wówczas mamy wszystkie warunki doskonałego rozwoju bakteryi i rozpoczyna się klęska: dzieci mrą gromadnie jak muchy.

Najlepiej więc jest, gdy niemowlęta nie siedzą wcale przy stole: wszak wyciągają one rączki do wszystkiego co widzą, a nie brak słabych rodziców, ulegających żądaniom dzieci i wyrządzających im krzywdę. Zwyczajnego chleba, surowej sałaty, surowych owoców, smażonych kartofli i tłustych potraw nawet dwuletnie dziecko nie powinno jeszcze dostawać. Nie trzeba również przyzwyczajać dzieci do podniecających napojów, jako to: wódki, piwa, kawy, herbaty. Napojami dla dzieci niechaj będą: mleko, woda, kakao.

Bardzo często powodem kataru żołądka i kiszek bywa przeziębienie brzuszka i dlatego nie należy obnażać dolnych części ciała bardzo małych dzieci, jak to zwykle bywa przy ich podnoszeniu. W nocy nawet, letnią porą, przykrywamy dzieci zbyt ciepło, wskutek tego zaczynają się one pocić, wykopują się z pod kołder i pierzynek i obnażone wystawiają się na działanie powietrza. Dla zapobieżenia temu, nie trzeba dzieci przykrywać zbyt ciepło, aby się nie zapociły. Otwieranie okien w pokojach sypialnych przez całą noc jest bardzo właściwem podczas upałów letnich; chłodniejsza temperatura nocna odświeża ciało, wyczerpane całodziennym upałem.

Dom i kuchnia.

Legumina zimna z rabarbaru.

Funt 1 obranych z łodyg rabarbarowych cienko pokrajać, wymieszać z 1 funtem cukru, sokiem z 1 cytryny i z 5 utartemi gorzkiemi migdałami. Wszystko postawić na dobrym ogniu, aby się na masę rozgotowało, poczem przestudzić, dodać trochę wanilii i 1 łut żelatyny rozpuszczonej w niewielkiej ilości gorącej wody, a po dobrem wymieszaniu złożyć w formę wypłukaną zimną wodą i wynieść na parę godzin do piwnicy dla zastudzenia.

Zupa „nic" na mleku.

Na dwie kwarty mleka wziąć 6 żółtek, które rozbić mocno ze szklanką cukru i szklanką zimnego mleka. Resztę mleka zagotować z kawałkiem cynamonu lub wanilji, przecedzić i wlać, mieszając ciągle, do żółtek, lejąc po woli, aby się żółtka nie zwarzyły; potem zupę rozgrzać na ogniu, a gdy żółtka zgęstną, zdjąć z ognia i wynieść do lodowni lub do piwnicy. Białka pozostałe ubić na gęstą pianę z kilku łyżkami pudru i kłaść łyżką jak kluski, na gotujące się mleko, przed zaprawieniem żółtkami.

HUMORYSTYKA

Przy egzaminie.

— Jakiej barwy jest koń? — pyta nauczyciel powierzonego swej opiece małego książątka.

— Zielonej.

— Doskonale! Książę widocznie miałeś na myśli konika polnego.

Wysoka koligacya.

— Muszę się z tobą podzielić radością; niebawem ożenię się z panną Petronelą, już jestem zaręczony.

— Powinszować, to bardzo piękna rodzina, dziadek twojej przyszłej był nawet kanonizowany.

— Czy być może, nic nie wiedziałem o tem.

— A jednak mówię prawdę, ten poczciwy człowiek po otwarciu testamentu, został przez spadkobierców uznany jako święty turecki.

Tegoczesne oświadczyny.

— Pani, jeśli mnie kochasz prawdziwie, to niech rodzice pani poproszą o moją rękę i przedstawią mi twoje środki utrzymania i posag, a ja wówczas rozważę i dam odpowiedź.

Balwierz i fryzyer są najpoufalsi do panów, bo pierwszy trzyma za nos, a drugi za głowę.

On i ona.

Rzecz dzieje się w pierwszych chwilach uniesień miłosnych.

— Sprzedałbyś mnie?

— Nigdy w życiu.

— Za tysiąc rubli?

— Ani rusz!

— Za sto tysięcy?

— Nie mówmy o tem.

— Za milion rubli?

On zrywa się z miejsca niespokojny, pytając:

— Gdzie jest taki głupiec, który to daje.

— Niechże panieneczka kupi; świeże precle, jak Boga kocham, prosto z pieca.

— Kiedy ja chciałam suchych do tarcia...

— Żeby mnie gęś kopła, już dwa tygodnie, jak były upieczone...

W restauracyi.

Gość po zjedzeniu kolacyi do restauratora.

— Co pan robi z tymi, którzy nie zapłacą za zjedzone potrawy?

— Cóż mam robić? wyrzucam ich po prostu za drzwi.

— W takim razie niech się pan nie trudzi: już ja sam wyjdę...

Celem uregulowania nakładu prosimy Szan. Czytelników o jak najrychlejsze nadsyłanie przedpłaty na kwartał przyszły do Administracyi „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie, ul. Wiślna 2. — Prenumerata wynosi rocznie 9 kor., półrocznie 4 kor. 80 hal., kwartalnie 2 kor. 40 hal. Abonament do Francyi, Ameryki, Król. Polskiego i Rosyi tylko półrocznie 8 koron, rocznie 16 koron.

„Krajowy Kolejarz“

centralny organ galicyjskich kolejarzy, najstarsze pismo dla kolejarzy polskich wychodzi 15-go każdego miesiąca, zawiera:

Fachowe artykuły pisane przez kolejarzy i kronikę z życia kolejarskiego

Przedpłata wynosi rocz. **2 Kor.** półrocz. **1 Kor.** - - - - - - kwartalnie **50 hal.** - - - - -

Przedpłatę przesyłać należy do

Administracyi „Krajowego Kolejarza“
ul. Szeptyckich L. 68, Lwów.

„KUPIEC POLSKI“

największy organ kupiectwa polskiego wychodzi co 1 i 15 każdego miesiąca w Krakowie.

“Kupiec Polski“ omawia sprawy kupiectwa wszyskich dzielnic polskich.

„Kupiec Polski“ obfitością treści przewyższa nawet fachowe pisma niemieckie.

Ogłoszenia w „Kupcu Polskim“ najlepiej się opłacają.

“Kupiec Polski“ ma czytelników we wszystkich sferach i dzielnicach Polski.

Prosimy żądać numerów okazowych.

Prenumerata: w Austryi 2 Kor. kwartalnie. 8 Kor. rocz.
„ w Niemczech 2 Mk. kwartalnie, 8 Mk. rocz.
w Rosyi 1 Rub. kwartalnie, 4 Rub. rocznie.

Adres: **Kupiec Polski Kraków Wolska nr. 14.**

ODRODZENIE

Czasopismo poświęcone sprawom współdzielczym, przemysłowym i ogólno-ekonomicznym

Wydawcą tego pisma jest **„Związek Stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych“** we Lwowie plac Smolki l. 4. działający w porozumieniu z Komisyą krajową dla spraw przemysłowych, Ligą pomocy przemysłowej, krajowym Związkiem przemysłowym i innemi wybitniejszemi organizacyami.

Przedpłata z przesyłką pocztową w Austryi rocznie 12 K, półrocz. 6 K, kwartal. 3 K.

Wychodzi 1., 10. i 20. każdego miesiąca.
Redakcya i administr. Lwów, pl. Smolki 4.

„Szkoła“ jest najstarszem pismem pedagogicznem w Galicyi, wychodzi obecnie rok 43.

Porusza najważniejsze zagadnienia pedagogiczne — ma zapewnione współpracownictwo wielu wybitnych pedagogów polskich.

Podaje obszerne informacye o szkolnictwie w całej Polsce oraz zagranicą.

„Praktyka szkolna“ podaje wiele rozpraw dydaktycznych i metodycznych i ułatwia nauczycielstwu orjętacyę w metodzie nauczania; usuwa wiele trudności jakie każdy nauczyciel zwłaszcza młody napotyka w swej pracy zawodowej.

SZKOŁA

ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO,
miesięcznik, poświęcony sprawom wychowania wogóle, a szkolnictwu ludowemu w szczególności,
wychodzi we Lwowie pod redakcyą Komitetu.

Do każdego numeru dołącza się „Praktykę szkolną“, przewodnik metodyczny dla nauczycieli.

Przedpłata „Szkoły“ wynosi:
rocznie 8 k. — 3 rb: 50 kop. — 8 marek
półrocznie 4 „ — 1 „ 75 „ — 4 „

Przedpłata „Praktyki szkolnej“ wynosi:
rocznie 4 k. — 1 rb. 75 kop. — 4 marki
półrocznie 2 „ — 90 „ — 2 „

Adres redakcyi i administracyi:
Galicya, Lwów, ul. Friedrichów 10.

Gwiazdka Cieszyńska

pismo poświęcone wiadomościom politycznym, nauce, przemysłowi i zabawie, założone w 1848 r. przez **Pawła Stalmacha** wychodzi w Cieszynie w środę i sobotę. Informuje dokładnie o stosunkach śląskich, zajmując się przedewszystkiem sprawami narodowemi i ekonomicznemi polskiej ludności rolniczej i robotniczej.

Cena prenumeracyjna z przesyłką pocztową wynosi całorocznie 7 k — półrocznie 3 k 50 h, kwartalnie 1 k 75 h.

Za ogłoszenia płaci się **20 h** od wiersza drobnego; przy :: kilkakrotnem umieszczeniu daje się znaczny rabat ::

Adres: **Redakcya i Administracya „Gwiazdki Cieszyńskiej“ — Cieszyn, ul. Schodowa 3.**

Od Administracyi.

Wszelkie reklamacye są wolne od opłaty pocztowej.

Zwracamy jednakowoż Szan. Czytelnikom uwagę na to, iż reklamacye koniecznie muszą być nadesłane w **otwartej** kopercie. Reklamacyi w zamkniętych kopertach niefrankowanych nie przyjmujemy, ponieważ poczta liczy nam za nie podwójne porto.

„Przewodnik Kółek rolniczych“

czasopismo rolniczo-ekonomiczne ilustrowane

wychodzi trzy razy w miesiącu z datą 1., 10. i 20 w objętości co najmniej 2 arkuszy tekstu.

Każdy numer zbroszurowany w okładce, mieszczącej liczne ogłoszenia.

„Przewodnik zawiera artykuły popularne, opracowane z wszelkich działów gospodarstwa rolnego, objaśnienia ustaw, rady i wskazówki gospodarcze. informacye handlowe. wiadomości o stanie rozwoju stowarzyszeń u nas i za granicą, wogóle omawia sprawy ważne dla każdego rolnika.

Prenumerata całoroczna tylko 3 kor.

Prenumeratę przyjmuje Zarząd główny Tow. Kółek rolniczych we **Lwowie, ul. Kopernika 11.**

„Nowiny“

:: najpoczytniejszy ::
i najtańszy dziennik
w Galicyi Zachodniej

pod redakcyą Ludwika Szczepańskiego
miesięczna prenumerata 1 k. 50 hal.

„Nowiny“ celują szybkością informacyi i obfitością zajmującej lektury (2 pow.).

Prosimy żądać bezpłatnych — numerów okazowych. —

Adres: „Nowiny“ Kraków Wiślna 2

Dyplom honorowy na Wystawie w Krakowie r. 1901.

W. Sznajdrowicz

Kraków, Rynek, Linia A-B L. 45, I p.
nad apteką pod „Białym Orłem“

pod Zamkiem L. 234 Filia w Krynicy **pod Zamkiem L. 234**

poleca Szanownej P. T. Publiczności

główny skład i pracownię

PELERYN

zakopiańskich i tyrolskich, damskich, męskich i dziecięcych
po bardzo nizkich cenach,
oraz wielki wybór serdaków i wszelkich stroi zakopiańskich

Zamówienia i reparacye uskutecznia w jak najkrótszym czasie

15 9

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Fabryka pieczęci kauczukowych
St. Niemczyk
19 **KRAKÓW** L. 9.
Sukiennice 10. B.

„GŁOS POLSKI“

TYGODNIK NARODOWY DLA PODOLA,
wychodzi w Tarnopolu.
PRENUMERATA KWARTALNA 2 KORONY.
Rok założenia 1904.
Jedyne pismo polskie na Podolu galic.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“. Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.